

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 15-go maja 1943r.

Rok V. Nr. 19

POLAND FIGHTS

NEW YORK, N. Y.

NIE ROZUMIEM

Jest to artykuł kolegi-żołnierza, byłego jeńcy niemieckiego. W ciągu dwu z górą lat spędzonych w obozie jenieckim, a potem na szlaku ucieczki przez kraje okupowane — wykazał on zdumiewający hart woli, cierpliwość, upór, przeżył wiele i cierpień. Jego szczera, gorzka spostrzeżenie z pierwszych przeżyć w Anglii zastępuje na skrupulatne rozważanie w myśli i w sercu, choćbyśmy uznali, że pewnym jej uogólnieniem zaprzeczyły ostatnie wypadki, które nam samym i światu ukazały naszą nienaruszoną spójność i pełną jedność wobec spraw zasadniczych. /przyp. red./

Przyjeżdżając do Anglii z kontynentu objętego okupacją, przeżywa człowiek poczucie, że nieuprzedzony dwoma rodzajami wstrząsów, jeżeli idzie o pierwszą konfrontację z nowym nieznany, a tak codziennym dla ludzi tutejszych światem. Jeden wstrząs w zetknięciu z wojującą i wojenną Anglią, drugi w zbliżeniu do cywilnej i wojskowej rzeczywistości polskiej na wielokrotniejszym tle. W jednym i drugim wypadku ze spotkania tego wychodzi się z uczuciem dumy i spełnienia wielu nadziei, przekraczających nie raz najśmielsze marzenia, a jednocześnie w obu wypadkach mieści się dla przybywającego źródło głębokich zawodów i jakby nieporozumień. Zostawmy sobie tymczasem Anglię na inny raz. Mówmy od razu o Polsce.

Wiem, porównywać nie wolno. Porównania nie dają nic, nie uczą, gdy każdy żyje sam sobie. I nikt nie rozumie tutaj, jeżeli mu powiedzieć, że z nonszalancką traktuje i trwoni codzienne wartości życia, za które nasi najbliżsi, żyjący po tamtej stronie zapisaliby nieomal duszę diabłu.

I właśnie dlatego lepiej przyznać się od razu przyjeżdżającemu, że narodowa polska rzeczywistość tutaj jest dla niego w pierwszym przynajmniej okresie podobnie niezrozumiała, jak niezrozumiała jest dla przeciętnego mieszkańca Anglii, Polaków nie wyłączając, sposób czucia, myślenia i patrzenia ludzi stamtąd.

Pierwszym sygnałem nieporozumienia jest to pytanie aż nadto często i nadto beznamiętnie stawiane pod adresem przybywających z niewoli:

— „A właściwie to po co pan tu przyjechał?”

Nie ma odpowiedzi na to pytanie. Jest tylko jeszcze jedno stwierdzenie z rozpaczyliwym nieomal naciskiem:

— „Proszę pana ja z nie woli przyszedłem...”

— „To co, będzie pan jeszcze bohaterem strugał?”

Nie rozumiem i nie rozumiem nigdy, chociaż wiem, że w takiej postawie więcej jest naszej urzędniczej niezgrabności, niż złej woli. Że często nawet nie o słowa chodzi, bo w nastawieniu, w stosunku władzy i urzędników do ludzi i spraw „tamtego świata” kryje się ta sama, niepokojąca obojętnością treść, oświeblająca i kłopotliwa wyższość. Z tytułu wiedzy głębszej czy może widoku na nie szerszego? Nie wiem.

I tak samo trudno zrozumieć wiele wzajemnych pretensji i liczne objawy niezadowolenia z losu ludzi, opływających tutaj w dobrobyt, żyjących lepiej niż kiedykolwiek przedtem, przed wojną... /gdyby nie daleka już nieomal, myśl o domu i o rodzinie, będąca jak słaby wyrzut sumienia, dla tych sumień już przystosowanych do nowej sytuacji, już idących z nią na kompromis łatwy i całkowity./

Różnica poziomu i stylu życia, stopień wolności i nieodpowiedzialności za słowo w porównaniu z poziomem życia i ciężarem odpowiedzialności jaki dusi człowieka, żyjącego na kontynencie, jest tak ogromny, że pierwsze zetknięcie z tutejszą łatwością wywołuje coś jakby odruch zgorznienia.

Jak to, więc ci Polacy, którzy przy uwzględnieniu wojennych warunków mają wszystko z tych dotychczas wartości, co stanowi przedmiot najgłębszych, najofiarniejszych tęsknot tylu przesładowanych braci, swobodę słowa i myśli, bezpieczeństwo dnia i nocy, wygody cywilizowanego świata, możliwość służenia i pracowania dla swoich, uznanie i poważanie wśród obcych takie, o jakim przed wojną ani marzyć się nikomu nie mogło, mimo nie wiem jakich nacisków propagandy — mógłbym mnożyć te dodatnie objawy bez ograniczeń nieomal — a nie tylko nie są zajęci rozbudowywaniem twórczych wartości i zdobywaniem swego wkładu do wojny, ale skłóceni od środka, jak nigdy rozkapryszeni a grymaszący. Robią ze siebie widowisko ludzi, którym — to jest fatalne słowo i napewno fałszywe, mimo pozorów służności — jakby naprawdę za dobrze się powodziło. Że niby już nie mają innych zmartwień, jak te między sobą rozgrywki i walki o władzę, o wpływy, o kompetencje, o posady dzisiaj i na przyszłość.

Notuję te uwagi pilnie i pośpiesznie, jakby w obawie, że za parę tygodni przestanę być czuły na podobne odcienie różnic, że mnie pochłonie i wciągnie tutejszość, jakby w obawie, abym się nie przyzwyczaił, bo przyzwyczajenie przysięga wrażliwość siatkówki i skóry.

Tymczasem jeszcze niewtajemniczony we wszystkie finezje i sekrety nowego naszego istnienia, nieświadom klucza, który objaśnia kto z kim, a kto przeciw komu, rzechałem stwierdzić mogę a muszę stwierdzić uczucie: nie rozumiem. Ale boję się, że kiedy przyjdzie mi rozumieć, wart będę tyle samo, co każdy inny z tych, którzy wiedzą i widzą, co się dzieje, psioczą na wszystkich innych, gorszą się i oburzają na wszystko

dokoła, ale nigdy nie zechcą uważać, że obecność ich tutaj w tej chwili jest niesłychanym, fantastycznym przywilejem w stosunku do innych, którzy tam zostali — i że za przywilej ten kiedyś będzie trzeba odpowiadać, tłumaczyć się, co z nim uczyniono i to tłumaczyć takim nawet, co może już nie zechcą rozumieć?

Jakże bo wytłumaczyć tę zastędką cechę emigrantów, która polega na publicznym praniu brudnej bielizny i gromadzeniu brudów publicznych na widoku ogólnym? Jakże wytłumaczyć sobie, że wśród polskich ludzi walki mówienie o wrogu politycznym jakby zwalniało od obowiązku solidarności ze sprawą, że szkalujące mówienie i pisanie i akcję posuwać można aż do narażania interesu całości — czy przez rażące niedyskrecje plotek, czy przez pochopne oskarżenia albo pomówienia? Puszczając się je w kurs z zamiarem szkolenia wrogów osobistemu, nie zważając, ile z tego ogólnej szkody wyniknąć może i ile pożytku dla zewnętrznego wroga.

„Zaprawdę więcej spotkać nie nawiści między swoimi dla swoich, niżeli u wszystkich razem przeciw nieprzyjaciółom ojczyzny!”

Nie rozumiem. Postępy jakie uczyniło skłócenie już nie nawet obozów politycznych, ale poszczególne ludzi między sobą, są do prawdy zastraszające. Przez dwadzieścia lat niepodległości, nie mając innych zmartwień, jak tylko osobiste, widywali się codziennie po kilka razy, kłócili się, godzili się, kochali się, byli przyjaciółmi, znajdowali mimo wszystko wspólny język i wspólny ludzki mianownik zdrowego sensu w stosunku do większości obchodzących ich spraw, a tutaj, po trzech latach nieobecności /mojej/ zastają ich nagle w sytuacjach jakże zmienionych, jakże niepodobnych do wszystkiego, cośmy znali i co pamiętamy.

„Odwroćcie przymierzy” przeszło między ludzi jako objaw swoisty i jakby typowy dla obecnych czasów. Jest tak jaskrawe, że aż oburzające. Jeden o drugim już teraz mówi, że swinia, a drugi o pierwszym, że wariat. Chciało

by się chodzić od jednego idioty do drugiego i tłumaczyć prawie i prosić: nie bądź idiotą. Jak w domu wariatów. A oni już tylko całą energię i pomysłowość wyczerpują w czasie tej wojny totalnej o byt i niebyt Polski, o przyszłość świata, o sens ofiary złożonej przez tyłu szlachetnych, na szkodzenie sobie i podstawianie nóg, śmieszne, złośliwe, dziecinne przeszkadzanie sobie i zwalczanie się przed trybunałem opinii, już i tak dostatecznie zbalaamucoję. Nie rozumiem. Jak ogromny zapas namiętności, jaki potencjał wyobraźni i siły marnuje się wśród nas i trwoni na tę robotę.

Przeszli najcięższe rzeczy: wrzesień, Zaleszczyki, Libourne, ewakuację, biedę, niepewność, a wreszcie pasujący na bohaterów londyński blitz — ale nie scementował wśród nich niczego ten wspólny okres próby. Raczej przeciwnie — rozbił ich i podzielił, jak nigdy przedtem. Można by prawie zwątpić w zdrowy sens tego przemienia, którego instynkt samozachowawczy zawodzi właśnie w takich chwilach. Czy niczego nie nauczyła nas Francja? Własny nasz stosunek do klęski wrześniowej sprawił przecież, że i Francuzi przestali się liczyć z naszym doświadczeniem już nie klęski nawet, ale w ogóle wojny — a jeżeli zapłacili to drogo, ile drożej kosztowała ta ich nauka nas samych?

Nie mieliśmy nigdy talentu ani umiejętności postępowania z ludźmi. Mimo pozorów Polacy nie zdają się być obarczeni łaską życzliwości wzajemnej, która tak ułatwia stosunki w służbie i poza służbą. Dziś przez pryzmat nie-normalnych i nad-normalnych warunków ukazuje się ta nasza najlepsza cecha jaskrawiej jeszcze oczom i rozumieniu ludzi przybyłych z daleka. Bo nigdy chyba nie było między nami podobnie łatwego załatwienia się z zaskumą i watością ludzką, jak to, które panoszy się dzisiaj. Odsadzanie człowieka przeciwnych przekonań od czci i wiary było zawsze już jednym z niekoniecznie pięknych chwytów walki wyborczej, walki o władzę i wpływy. Ale zdawało by się, że w czasach kiedy walka idzie o nagi byt, te sposoby dostą-

pią zrozumiałych złagodzeń, znowu tylko w najprościej zrozumianym wspólnym interesie rządzących i rządzonych.

Być może pod okupacją, albo w obozach jeńców uczy się człowiek wielkiej naiwności, być może wychodzi stamtąd idealista, żeby nie powiedzieć utopista, wychodzi w każdym razie ożywiony jedną myślą, jedną ideą i jednym celem: walki z wrogami. Nie ma w nim miejsca ani myśli o walce z swoimi ludźmi. Marzył uczucie o tym, że go do tej walki ci ludzie potrzebują. Że go czekają, tak jak czekają tych setek tysięcy nieobecnych, a równie niecierpliwych jego kolegów. Przeszedł swoją pokutę jak gdyby czyścić, przez który wszystko, co było przeszłością, co było obciążeniem, co było winą nawet, zostało przewartościowane.

I oto staje ten człowiek z nową czystością niż kiedykolwiek gotowością służenia w szeregach swoich, w szeregach, o których nigdy nie umiał myśleć bez wzruszenia. One przecież były dla niego w tamtych chwilach jedyną namacalną wielkością ojczyzny. Wszystko inne z pojęciem ojczyzny związane było smutne, żalotne, żalotne. Ta wrażliwość, ta zdolność do wzruszenia to przecież najlepsza część człowieka, jaką przynosi w sobie po ciężkich moralnych przejściach niewoli lub przesładowania. Tej wrażliwości ani rozumienia dla niej nie spotka nigdzie w dzisiejszej oficjalnej, wielokobrytyjskiej Polsce, walczącej o przyszłość kariery.

I poczuje się jak zawstydzony — i już nie przynosi się więcej do swoich uczuć rozczarowania i zawodu. W zamian usłyszy jak o przyjaciół i o towarzyszach sprawy, którzy tam zostali /bo nie mogli uczynić inaczej/ padają wyrobione już, łatwe i pochopne sądy: wykończył się, załamał się, zdradził. Albo po prostu bałwan.

W zamian dowie się, że prawda rzeczy widzianych jaką przynosi stamtąd, nie odpowiada interesom tej czy innej frakcji, partii czy ołdalu. Jakże mu się wyda zbyt cyniczny, naiwny nieraz ten własny entuzjazm uczęszki i pędu, który niósł go poprzez tyle trudu, czekania i niebezpieczeństw, ku onemu wymarzonemu krajowi służby szczęśliwej i bezinteresownej, mającej jeden tylko, wyłączny, zawsze ten sam co i tam, pod butem nieprzyjaciela, cel.

I myśli o wielkich, niezrozumiałych przywilejach wybrańców losu, powołanych dzisiaj w całej swojej zbiorowości, w złym i w dobrym, w każdym odruchu i czynie do reprezentowania przed światem narodu, któremu odebrał prawo głosu. Odmawia się praw do istnienia. I myśli: jakże niektórym wśród nas do głowy uderza wolność słowa i życia. I myśli: jak dalecy są inni od rzeczywistości cierpiących, i czekających braci po drugiej stronie bariery, pociesza się czasem jednak tym właśnie i tym jedynie, że jeszcze patrzy chyba na tę egzotyczną tutejszość okiem nieumiejętnym i naiwnym.

I wtedy stwierdza raz jeszcze, w obliczu tego ogromu narodowych nowości i niespodzianek, który się nagle do niego zbliżył, i który stać się musi o pierwszej chwili sprawą sumienia i zagadnieniem nieustannych z nim porachunków, po tak długiej, po tak rozdzielającej nieobecności: nie rozumiem.

JACEK LIS

OTTO MACIĄG: Chorągiew pancerna /drzeworyt/



WIELKIE ZWYCIĘSTWO

Zajęcie od jednego wielkiego zamachu dwóch fortec: Tunisu i Bizerty, jest zwycięstwem niezwykle cennym. Spodziewano się, że oba te ośrodki stawać będą twarde opór; zapowiedziano nawet, że Niemcy zrobią wszystko, ażeby przekształcić Bizertę i Tunis w nowy Stalingrad. Okazało się, że strategia brytyjsko-amerykańska była przewidująca i że wychodziła z zasady, iż ostateczne uderzenie na Tunis i Bizertę wykonać trzeba dopiero wtedy, kiedy zgromadzi się niebawem przewagę sprzętu i ludzi.

Anglicy i Amerykanie przyswoili sobie wszystkie doświadczenia wojny pustynnej; używanie czołgów było doskonałe a dowództwo brytyjskie /jak zaznacza sprawozdawca wojskowy "Sunday Timesa" z dnia 9-go maja/ rzuciło do boju czołgi dopiero wtedy, gdy rozkruszone opór wroga strasliwym bombardowaniem i kiedy nieprzyjacielskie czołgi zostały porządnie przetrzepane z działek panc. We wszystkich poruszeniach armii 1-ej, jak i 8-ej widać niezwykłą staranność i precyzję, gietkość i umiejętność używania metod i sposobów nie według jednego schematu, ale tak, jak tego wymagała sytuacja.

Kampania tunetańska prowadzona zrazu pośpiesznie, powoli weszła w fazę serio; ostatnie jej odcinki są wzorowe pod względem taktyki, organizacji dowozu, linii zaopatrzenia, wyliczenia w czasie. I to aż do ostatniej chwili, albowiem armie podzieliły się łupem: Anglicy wzięli Tunis, Amerykanie Bizertę, a zdobyli je niemal o tej samej godzinie. To się nazywa prawdziwe braterstwo broni!

Dla ujarzmionej Europy wiadomość o sukcesach w Tunisie będzie wielkim bodźcem. Dla państw lennych, od Włoch poczynając — albowiem partnerstwo Włoch było zawsze niedostateczne ze względu na olbrzymią przewagę militarną Niemiec i na dyktowanie Włochom przez Berlin takich czy innych posunięć — nadchodzi ciężka chwila. Zdają sobie one sprawę z tego, że chwila lądowania na kontynencie teraz naprawdę już nie jest daleka. Atak taki jest nieunikniony. Musi to wywołać katastrofalny spadek nastrojów. Wśród podbitych krajów natomiast, zwycięstwa w Tunisie są hasłem do bardziej śmiałych poczynań. Walka podziemna przybiera charakter coraz bardziej jawny.

Nie wiemy jak długo potrwa wyprawa wroga z ostatniego jego schronienia, Cap Bon. Ewakuacja nie będzie łatwa, jakkolwiek samoloty przewiozły napewno już wielu sztabowców, rozmaitych miejscowych quislingów /z bijem Tunisu na czele/; lotnictwo brytyjskie czuwa pospół z flotą i dlatego przez cieś-

ninę messyńska wiele nie da się przemycić. Masakra "Junkersów" była wcale poważna, sukcesy morskie także zachęcające dla Anglików. Przewaga lotnictwa sojuszników jest faktem olbrzymiego znaczenia. Marszałek Tedder położył swój słynny "dywan" zniszczenia; akcje bombowców były podobno na największą skalę, jaką wojna ta oglądała. Niektóre punkty miocione były w strasliwy sposób: dwa tysiące nalotów wykonano na jeden, niewielki obszar, gdzie zaznaczał się szczególnie silny opór niemiecki. Wydało się, że lotnictwo niemieckie nie miało wiele do powiedzenia — tym bardziej, że lotniska dosłownie uciekały z pod kół "Luftwaffe".

Kampania tunetańska potwierdza raz jeszcze prawdę, że warunkiem udania się ofensywy jest takie nagromadzenie sprzętu i lotnictwa, ażeby ostateczne, rozstrzygające uderzenie miało w sobie nieodwołalną, nieprzepartą siłę. Jeżeli na jednym odcinku przed Tunisem Anglicy rzucają do walki 400 czołgów, rozwalając w puch stanowiska niemieckie, to wiemy, co to znaczy: przez długie tygodnie dowożono na zaplecze tysiące czołgów. Organizacja kampanii w Tunisie była powolna — zabrała pół roku — ale była dokładna.

Wróży to zatem, że z chwilą dostania się na kontynent — i to zapewne w kilku, jeżeli nie kilkunastu punktach — armie anglo-amerykańskie wykonają swoje zadanie równie dokładnie, chociaż może pierwsze kroki będą wolne, bardzo powolne. Wszystko przekonuje nas jednak o tym, że zagadnienie wdarcia się na kontynent już zostało opracowane i to napewno niesłychanie precyzyjnie.

KTO UDERZY PIERWSZY NA WSCHODZIE?

Komentatorzy wojskowi w rozgłos-

Szkic sytuacyjny

niach niemieckich wspominają, że w r. ub. ofensywa w Rosji zaczęła się 10-go maja. Dają przez to do poznania, że w tym roku również zacznie się w tym okresie.

Na razie jednak Rosjanie uderzyli na południu, prac w stronę Noworosijska. Działania sowieckie są celowe. Rosjanie zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa ciernia kaukaskiego — wiedzą, że z tej niewielkiej odskoczni Niemcy mogą pokusić się o marsz w głąb Kaukazu, co by zagroziło całemu południowemu skrzydłu. Fakt, że OKW /Oberkommando der Wehrmacht/ trzymało przyczółek kaukaski tak długo, mimo wielkich strat i ofiar, dowodzi, że przyczółek ten uważany był nie tylko za ważny, ale konieczny dla operacji na r. 1943.

Przypuszczać należy, że dowództwo niemieckie ma w planie uderzenie na dwu skrzydłach — skrajnie północnym i skrajnie południowym. Ożywienie frontu pod Leningradem, bombardowanie z dział dalekonośnych obiektów w tym mieście, próby przecięcia połączeń — dowodzą, że uderzenie na Leningrad leży w zamiarach armii niemieckiej. Jak przedstawia się możliwość parcia w kierunku Moskwy — nie wiemy. Wydaje się jednak, że OKW będzie forsowało i ten szlak.

Wszystko wskazuje na to, że armia niemiecka ruszy niebawem i że — nie ma ona innego wyjścia. W doniesieniach jakie Cedric Salter przesłał dnia 8-go maja "Daily Expressowi" ze Sztokholmu wynika, że Hitler w czasie swoich niedawnych rozmów z lennikami /od Króla Borysa do Laval/, dawał do poznania, iż:

Niemcy dokonają jeszcze jednej olbrzymiej próby militarnej w Rosji celem złamania maszyny sowieckiej, a jeżeli nie uzyskają spodziewanego wyniku, to na jesieni zaproponują

"korzystny" dla Rosji pokój.

Tego rodzaju schemat nie jest żadną niespodzianką. Liczono się z takim posunięciem Rzeszy. Niejednokrotnie na tych łamach zaznaczyliśmy w czasach ostatnich, że ofensywa niemiecka w tym roku na Wschodzie będzie zabiegiem politycznym przede wszystkim, a to dla ewentualnego podbicia ceny w rokowaniach, jakie Rzesza będzie próbowała podjąć. Rozkaz dnia Stalina z dnia 1-go maja rozbija te nadzieje niemieckie. Oczywiście, jak w wielu wypadkach, Niemcy wierzą w swoje i będą wierzyli, aż do — zawiedzenia tych nadziei. Hitler po prostu nie może dopuścić myśli, ażeby ktoś mógł pogardzić jego wspaniałomyślną ofertą — /choć już raz przekonał się, w przededniu ataku lotniczego na Anglię w sierpniu 1940, że jednak tak było.../

Armia niemiecka musi bić się na Wschodzie — raczej dopuści do kleski na Zachodzie, Północy czy Południu Europy, aniżeli "puści" front wschodni. Lęk przed "puszczeniem" tego frontu jest tak silnie zakorzeniony w narodzie niemieckim, że poniesie się wszelkie ofiary dla jego podtrzymania. Są to wnioski, które wysnuć można z relacji wszystkich tych, co niedawno opuścili Rzeszę oraz ze sprawozdań pism neutralnych.

OFENSYWA LOTNICZA NA RZESZĘ

Po wielkich wysiłkach lotniczych przeciw Rzeszy oraz obszarom okupowanym, mamy do czynienia z pewną przerwą. Nie wiemy jak długo ona potrwa, ale wiele wskazuje na to, że po oczyszczeniu Tunisu rozpocznie się bardziej regularne łomotanie lotnicze. Ofensywa lotnicza sojuszników w stosunku do Rzeszy powinna tego lata przyjąć formę sta-

łego bombardowania. Wszystkie raporty mówią, że bombardowania Niemiec robią wielkie wrażenie na mieszkańcach Rzeszy, co więcej — poraz pierwszy w świadomości przeciętnego Niemca zakorzeniło się przekonanie, że jednak wojna to rzecz bliska, niemiła i że ma smak, który dawniej był dlań nieznany.

Bombardowania sojusznicy mają napewno swój plan. Nie znamy szczegółów tego planu w stosunku do Rzeszy, ale można by przypuszczać, że skoro zacznie się wielka ofensywa lotnicza, będzie to przedsmakiem inwazji sojuszników.

Z zestawień niedawno urzędowo ogłoszonych wynika, że Rzesza trzyma poważne pogotowie myśliwców /ok. 60 procent/ na Zachodzie, co dowodzi, jak wysoko ceni się siłę uderzenia bombowców alianckich. Również pogotowie nocnych pościgowców niemieckich wydaje się wcale znaczne. Wreszcie, siła bombowców niemieckich stacjonowanych na Zachodzie nie jest nikła. Rzesza uważa, że musi mieć w pogotowiu odpowiednią ilość maszyn, ażeby próbować sparaliżować lądowania alianckie.

W Rosji jest dalej lwia część maszyn niemieckich. Pomimo tego nie potrafili one ostatnio skutecznie przeciwdziałać sowieckim uderzeniom na Kubaniu. Dowodzi to, że "Luftwaffe" nie ma już tej zdolności, którą posiadała dawniej — a więc błyskawicznego uzyskiwania przewagi lokalnej. Musi się dzisiaj o wiele więcej liczyć z sowieckimi kontratakami lotniczymi. Produkcja sowiecka w dziedzinie samolotów poważnie wzrosła, maszyny angielskie i amerykańskie są w boju w Rosji — jednym słowem szanse "Luftwaffe" na uzyskiwanie w Rosji przewagi lokalnej według woli i zachcenia, nie są wielkie.

Strona brytyjska twierdzi, że siły RAF'u są dzisiaj równie liczne jak "Luftwaffe". Jeżeli dodamy do tego siły amerykańskie — to przekonujemy się, że na Zachodzie mamy już przewagę. Nie jest to jeszcze przewaga 5:1 czy 6:1, która daje dopiero przygniatającą wyższość, ale jest to już przewaga, która umożliwia uzyskanie przewagi lokalnej w miejscu, które sobie sojusznicy upatrzą do lądowania.

I to właśnie sprawa, że dopiero teraz, w lecie 1943 tworzą się pełne warunki dla dokonania najazdu Europy. Było to jasne dla tych ostrożnych obserwatorów, którzy ostawiali sobie sprawę z trudności budowania przewagi sprzętowej — trudności i długości takiego procesu. Albowiem w wojnie nie ma zasadniczo cudów: jest tylko logiczny pochod wypadków i wysiłków, wypracowywanych w czasie.

London, dnia 10-go maja 1943

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

4 maja: Generał Sikorski przemawiał do Kraju przez radio. Powiedział on m.in.: "Sądzimy, że nasza martyrologia i walka podejmowana w imię wspólnej sprawy, oszczędzi nam lekkomyślnych zarzutów i uniemożliwi wysuwanie pretensyj o nasze ziemie, tak drogo okupione krwią".

Polskie dywizyjny myśliwskie osłaniały wyprawę bombową "latających fortec". W czasie walki piloci polscy stracili 1 Focke Wulf prawdopodobnie oraz dwa uszkodzili. Dwóch pilotów polskich nie powróciło.

5 maja: Polskie dywizyjny bombowce bombardowały Dortmund. Wszystkie załogi polskie powróciły.

6 maja: Brytyjska Pierwsza Armia rozpoczęła wielką ofensywę na miasto Tunis.

7 maja: Wojska brytyjskie wkroczyły do Tunisu, a wojska amerykańskie i francuskie do Bizerty. Wzięto do niewoli tysiące żołnierzy.

Polskie dywizyjny myśliwskie przeprowadzały wymiatanie nad terenami okupowanymi przez nieprzyjaciela. Wszyscy piloci polscy powrócili.

9 maja: Zakończył się wszelki zorganizowany opór nieprzyjaciela w północno-wschodniej części Tunisu. W czasie ostatnich walk wzięto m.in. do niewoli sześciu generałów niemieckich.

10 maja: Flota Sprzymierzonych ocalała półwysp Cap Bon, uniemożliwiając ucieczkę rozbitym wojskom niemieckim i włoskim.

Rozpoczęły się narady polityczno-wojskowe w Kairze, w których biorą udział brytyjscy przedstawiciele dyplomatyczni i naczelni dowódcy wojskowi na Środkowym Wschodzie.

PRZYKRA POMYŁKA

Znana już jest historia oficera włoskiej marynarki wojennej, udekorowanego przez Mussoliniego i Hitlera za zatopienie dwóch pancerników amerykańskich. Jeden z tych pancerników okazał się poczywanym frachtowcem, a drugi korwetą, która, jak na złość, chybiła cztery torpedy. Cztery torpedy są widac "cyfra fatalna", bo i tym razem komunikat niemiecki głosi o zatopieniu czterech torpedami lotniskowca amerykańskiego "Ranger". Dowódca niemieckiego okrętu podwodnego — von Bülow otrzymał za ten wyczyn również szereg odznaczeń i listy debowe /Lohrbeerkrantz/ od samego Hitlera.

Aż tu Departament Marynarki Stanów Zjednoczonych zupełnie nieaktownie ogłosił: "Ani "Ranger" ani żaden inny lotniskowiec amerykański nie został w tym czasie zatopiony na żadnym z mórz." Jak teraz wygląda pan Bülow ze swoim Lohrbeerkrantem? Bo jeśli nawet coś zatopił, to z pewnością nie lotniskowiec.

Natomiast stwierdzić możemy, że czwarty z serii nowych lotniskowców brytyjskich "Indomitable" wszedł na służbę przed kilkoma miesiącami. Jego okręty siostrzane — "Illustrious", "Victorious" i "Formidable" /wszystkie po 23.000 ton/ — dużo dawniej rozpoczęły działalność bojową. A ostatnio Marynarka Amerykańska wprowadziła do linii kilkanaście mniejszych lotniskowców, specjalnie przystosowanych do osłony konwojów.

Sprawa lotniskowców wiąże się bezpośrednio ze współpracą operacyjną i taktyczną marynarki z lotnictwem. Brak lotniskowców zawaził fatalnie na operacjach włoskich przeciwko brytyjskiej flocie śródziemnomorskiej. Mussolinimu zdawało się, że centralne położenie Włoch, Libii i Dodekanazu zapewni mu panowanie w powietrzu i na morzu. Tymczasem okazało się, że to jego własna flota została zaatakowana w Taranto przez samoloty startujące z lotniskowców brytyjskich. Także Malta wspomagana była skutecznie przez lotniskowce brytyjskie eskortowane czasem przez polskie kontrtorpedowce, podczas gdy bazywane na lądzie polskie lotnictwo włoskie nie mogło zlikwidować tej wyspy.

Innymi słowy konieczność posiadania lotniskowców, nawet na morzu wewnętrznym, została dostatecznie stwierdzona. Nie zastąpi ich lotnictwo bazowane na lądzie. Ale kto

chce mieć lotniskowce, ten musi posiadać flotę. I to flotę pełnowartościową, mogącą zapewnić lotniskowcom swobodną i bezpieczną działalność.

MORZE ŚRÓDZIEMNE

Prasa brytyjska przyniosła wiadomość, podaną przez wyższego oficera marynarki, o działaniach na Morzu Śródziemnym. Brzmi ona jak następuje:

"Brytyjskie, francuskie, greckie, polskie, holenderskie i jugosłowiańskie okręty podwodne działają zgodnie, uzyskując dobre rezultaty przeciwko nieprzyjacielskim liniom zaopatrzenia. Największą ilość naszych okrętów podwodnych skoncentrowaliśmy na drogach do Tunisu. Jedną z tych flotyl podwodnych zatopiła 50 statków nieprzyjaciela, w tym kilka wielkich ropowców. Straty floty włoskiej liczą się już w milionowych cyfrach tonażu."

A jednak walka tu — na Śródziemnomorzu — jest dużo trudniejsza od tej, którą Niemcy prowadzą na oceanach. Tam jest przestrzeń i możliwość zmylenia przeciwnika. Tu — w Cieśninie Sycylijskiej, wokół Sardynii, u brzegów Apulii, pod Pantellarią lub Stromboli — jest ciasno i często nawet płytko. A wiadomo, że okręt podwodny potrzebuje więcej wody od największego z pancerników.

Podczas gdy niemieckie okręty podwodne mają na oceanie zupełną swobodę ruchów — okręty sprzymierzone na Śródziemnomorzu muszą się liczyć nie tylko z nawigacyjnymi trudnościami wód ciśnień, ale też z bardzo silną morską i powietrzną eskortą nieprzyjaciela. Bliskość brzegów ułatwia Niemcom i Włochom eskortowanie karawan z zaopatrzeniem i walkę z okrętami podwodnymi. Podczas gdy sprzymierzeni muszą pilnować całych ocea-

nów, Niemcy i Włosi strażują tylko na bardzo ograniczonych przestrzeniach — między Sardynią i Kretą. A już specjalnie blisko im do strzeżonej przez Sycylię i Pantellarię drogi zaopatrzenia Tunisu.

Jeśli mimo to okręty sprzymierzone działają i zadają nieprzyjacielowi dotkliwe straty — jest to niewątpliwie duża zasługa załóg. A więc i polskich marynarzy.

Ostatnie operacje w Tunisie i na wodach Sycylii jeszcze raz podkreślają znaczenie posiadania floty na morzu wewnętrznym. W chwili, gdy piszemy te słowa, jest jeszcze przedwcześnie na opis samej operacji, jednakże już dziś można stwierdzić, że przyczyna zwycięstwa sprzymierzonych leżała w ich panowaniu na morzu, przy równoczesnym osiągnięciu przewagi w powietrzu.

WAL ATLANTYCKI

Właściwie należało by powiedzieć — "Wal europejski", bo Niemcy twierdzą, że zamienili brzegi Europy w fortece. Ale ten nowy niemiecki bluff z pewnością nie przetrzaszy Sprzymierzonych. Bo nie jest łatwo zamienić w fortece 16,000 kilometrów linii brzegowej.

Oczywiście — nie każdy punkt wybrzeża nadaje się do wyładowania i nie każda plaża Europy posiada właściwości strategiczne, zdolne zapewnić skuteczne rozwinięcie desantu. Niemcy umocnili zapewne najważniejsze punkty neralgiczne, pozostawiając na tyłach silne, ruchome rezerwy. Mimo to jednak nie mogą być silni wszędzie.

Dania, południowa Norwegia, Holandia, Belgia, północno-zachodnia i południowa Francja, Włochy z ich wyspami, Jugosławia i Grecja, leżą w zasięgu flot sprzymierzonych. I tam też należy spodziewać się desantów. A do odparcia ich brak

Niemcom przede wszystkim panowania na morzu i przewagi absolutnej w powietrzu. Nie darmo sam Moltke twierdził, że najsilniej ufortyfikowane wybrzeże nie daje nic, prócz możliwości odbierania rażów, a bez szans oddawania ich nieprzyjacielowi. Aby móc razić samemu, trzeba mieć flotę.

Flota niemiecka jeszcze istnieje. Ale jest zbyt słaba, aby móc się mierzyć z potęgą morską W. Brytanii. Flota włoska jest liczniejsza od niemieckiej silniejsza, ale pozbawiona ducha. Przytem ma jeszcze bardzo trudne zadanie. A okręty podwodne Doenitz — jak przewidywaliśmy — już osłabły w swej akcji, nadto izolowane i ośrodkowej, by mogła trwać długo a bez przerwy.

To też floty brytyjskie i sprzymierzone zdolają z pewnością zamierzone desanty wysadzić w wybranych punktach kontynentu. Reszta zależy oczywiście od szczęścia wojennego. Ale to szczęście zdaje się coraz bardziej odwracać od Hitlera.

JAKICH MAMY MARYNARZY

St. marynarz Wypych Józef, ur. w roku 1915, od chwili wstąpienia do Marynarki /1938 r./ zdradzał wielki zapał, niepokromioną odwagę i szczere poczucie obowiązku. Na wskroś ideowy, gorący patriota, koleżeński i ofiarny, służył sercem Polsce całym.

W r. 1941 był karabinowym prawego NKM na O.R.P. "Garland". Okręt brał wówczas udział w licznych operacjach na Morzu Śródziemnym, służąc za osłonę najwybitniejszemu jednostkom pływającym floty brytyjskiej. W czasie tych operacji, lotnictwo włoskie dokonało kilku grupowych nalotów, z których jeden był specjalnie groźny. Brało w nim udział około 90 samolotów, atakujących eskadrę brytyjską. "Garland" cały czas ogniem swym osłaniał

większe okręty eskadry, odpędzając nieprzyjaciela.

St. marynarz Wypych zestrzelił wówczas samolot "Savoia 79" ocaliwszy zarówno własny, jak i sąsiedni okręt brytyjski od skutków nalotu.

W maju 1942 O.R.P. "Garland" szedł na Oceanie Lodowatym w osłonie wielkiego konwoju do Rosji. W ciągu pięciu dni konwój ten był atakowany przez nieprzyjacielskie samoloty i okręty podwodne. "Garland" odparł wówczas dziewiętnaście nalotów i ośm ataków z pod wody.

25 maja st. marynarz Wypych, zawsze czujny i gorliwy, pierwszy zauważył nurkujący z niskich chmur samolot. Samolot szedł wprost na okręt — zamkniętym gazem, bez szmeru. Gdyby nie czujność marynarza — okręt byłby stracony. Wypych natychmiast otworzył ogień ze swego NKM, poczem zawróciły mu inne środki ogniowe okrętu. Samolot z powrotem skręcił się w chmurach. W ten sposób po raz drugi ocalał okręt.

Naloty potęgowały się. W dniu 27 maja nastąpił najsilniejszy — przeprowadzony przez około czterdzieści samolotów. Cztery bomby upadły tuż przy burcie. "Garland" zniknął zupełnie w ogniu, dymie i pianie wodnej. Sąsiednie okręty brytyjskie uważały go już za stracony. Kiedy wypryski opadły, "Garland" ukazał się znowu, objęty pożarem, ale wciąż prowadzący ogień do nieprzyjaciela.

W wyniku upadku bomb wybuchły dwa parki amunicyjne i pożar przedostał się do komory łusek. Okręt został podziurawiony w 500 miejscach. Obsługi dział na dziobie zostały wybite. Prawie połowa załogi odniosła rany.

St. mar. Wypych znów pierwszy zauważył samoloty i przez cały czas prowadził ogień do nich. W krytycznej chwili, nie dbając jak zwykle o siebie, a chcąc koniecznie trafić samolot, wychylił się, odsłaniając się nie tylko na odłamki bomb, ale i na ogień maszynowy samolotu. Zginął na swym stanowisku bojowym o g. 13.42.

Jeden z samolotów został wówczas ogniem "Garlanda" zestrzelony, w czym oczywiście jest również zasługa s.p. Wypycha. Naczelny Wódz przyznał st. mar. Wypychowi Józefowi Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari. A Polska zapisze go w poczet swych bohaterów. Takich mamy marynarzy.

JULIAN GINSBERT

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę — dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 1200 książek

Czwarta wiosna Niemiec i Europy

GOEBBELS RAZ MÓWI PRAWDĘ

"Pod kryzysem militarnym rozumiemy takie pogorszenie sytuacji na froncie, że nie jest ono ograniczone tylko do dni, ale posiada charakter poważny i niepokojący. Taka sytuacja niewątpliwie powstała na froncie wschodnim w ciągu zimy, która właśnie się skończyła. W ostatnim kryzysie ponieśliśmy nie tylko poważne straty w zdobytym terenie, ale także w uzbrojeniu, a co jeszcze gorsze w ludziach. Są one dostatecznie wielkie... aby nam przysparzać trudności na przyszłość. Nie ma najmniejszego powodu, aby to ukrywać przed narodem niemieckim."

Oto urywek z artykułu Goebbelsa w numerze tygodnika "Das Reich", z dn. 14 marca b.r. Jest to niewątpliwie bardzo charakterystyczna próbka sposobu i tonu, jakim przemawia obecnie propaganda niemiecka na wewnątrz. Niemieckie czynniki kierownicze starają się stworzyć przekonanie, że niczego przed społeczeństwem swym nie ukrywają. Metoda taka rezygnuje z hodowania różowego optymizmu, podtrzymuje jednak — o ile Goebbelsowi uda się być konsekwentnym — zaufanie do kierownictwa Trzeciej Rzeszy i będzie tępić strach przed zaskoczeniem.

Jest to poza tym także jedyny sposób wytrzymania konkurencji z propagandą przeciwników. Kto miał kiedykolwiek okazję przyjrzenia się naukowej organizacji propagandowych komórek narodowego socjalizmu, nie zapomni ani na chwilę, że w tej maszynierii Trzecia Rzesza najidealniej i najsukcesowniej zrealizowała niemiecką "Gründlichkeit" /gruntowność/, z ślepym fanatyzmem wujającego Niemca, że ta maszynieria zawiedzie chyba na końcu.

Szary człowiek niemieckiej ulicy wie więc, że od kilku miesięcy armia niemiecka nie odnosi sukcesów. Nawet gdyby mu tego nie przypomniały bombowce sprzymierzonych oraz B.B.C. Mimo to trzeba stwierdzić z naciskiem, że Niemcy ostatnią zimę przetrzymali dobrze. Bodać nawet lepiej, niż okres zimowy 1941-1942. Nie powtórzyły się pogłoski o rozdźwiękach między partią a generałami, sytuacja aprowizacyjna była stosunkowo lepsza, objawy zakłamań moralnych jednostek czy pewnych kół rzadsze, natężenie produkcji duże. Niemcy robili w ostatnich, ciężkich dla nich miesiącach wrażenie organizmu jednolitego i zdecydowanego na wszystko. Czemu to przypisać?

PRZESTAWIANIE SIĘ NA DŁUGĄ WOJNĘ

Kilkanaście tygodni temu na tych łamach pozwoliłem sobie wyrazić pogląd, że los wojny, może — powiedzmy — raczej jej długość zależy od tego, czy Hitlerowi uda się przestawić z "Blitzów" na działanie długofalowe. Wiadomości z Niemiec są niesłychanie liczne i częste, niestety mało precyzyjne. I takie będą do końca wojny.

Czytając na przykład "Survey", wydawany od czasu do czasu przez socjaldemokrację niemiecką w Wielkiej Brytanii można by sądzić, że Niemcy już dojrzały do rewolucji wewnętrznej. Czytając organ socjalistów suedekich, lojalnych wobec państwowości czechosłowackiej, można by przypuszczać, że nawet Henlein żałuje dziś, iż poszedł za Hitlerem. Pobożne życzenia nie liczą się jednak jako argument. Autorowi niniejszych uwag — oby nie miał racji — wydaje się, że Hitlerowi udało się już przestawić moral narodu niemieckiego na wojnę długą. I dlatego szary człowiek niemieckiej ulicy zniósł niepowodzenia ostatniej zimy z większą równowagą ducha, niż wolno się było tego spodziewać. Że zaś niepowodzenia te znosi z tą odpornością już rok drugi jest dowodem kredytu, który narodowy socjalizm w Niemczech nadal jeszcze posiada.

Nie mogę zapomnieć o dialogu podsłyszonym na długo przed wojną w Berlinie na wielkiej wystawie "Grüne Woche". Przed świetlną mapą produkcji rolnej Niemiec stało dwóch dostatnio ubranych Niemców. Jeden z nich komentował osiągnięcia Trzeciej Rzeszy w zakresie uprawy bagien i torfowisk. Drugi natychmiast przyłączył się do pochwał reżimu narodowo-socjalistycznego:

— Diabło nie lubię tego Hitlera, ale trzeba przyznać, że zrobił dla Niemiec bardzo dużo.

— Razem z bandą swych nieuków z S.S. — dorzucił pierwszy i dyskusja została zamknięta dodatnio dla hitleryzmu.

Dziś obaj ci Niemcy chyba wychodzą także z założenia, że nie ma innej rady, jak dalej iść z Hitlerem i jego bandą, zwłaszcza, iż reżim sam stara im się to ułatwić.

Hitler bowiem w ostatnich miesiącach zrobił wszystko, aby politycznie raz jeszcze zespolić całe Niemcy z interesem partii, aby wszelkie rozdziewki w tym zakresie osłabić. Będzie rzeczą ciekawą pogrzebać kiedyś w dokumentach o zamordowaniu Heydricha, o nagłej śmierci innego kata z Gestapo Eickego, o usunięciu Darrégo, o "nervowej chorobie" kacyka monachijskiego, Adolfa Wagnera, jako dowodach likwidacji skrajnych skrzydeł partyjnych. Czyżby to były nowe, zlikwidowane afery Roehma?

W każdym razie Hitler ostatnio pokazywał się często z von Bockiem i z von Listem, obu marszałkami, których nazwiska półtora roku temu były wymieniane jako nazwiska szefów generalistycznej opozycji. Do znaczenia zaś w służbie dyplomatycznej Trzeciej Rzeszy dochodzą znowu ludzie Stresemanna.

Korespondenci prasy zagranicznej a nawet ambasadorowie w Berlinie, przed wojną, nieraz gruntuje mylił się w ocenie sytuacji wewnętrznej Niemiec. O ileż z większą rezerwą muszą być przyjmowane i sądzone oceny robione z dzisiejszego oddalenia, poprzez przeszkodę tak istotną, jak bariera frontu. Niemniej uporczywie wraca myśl, że naród niemiecki stoi dziś równie twardo przy Hitlerze, jak dotąd. I dlatego uwagi artykułu wstępnego "The Economist" z 24 kwietnia b.r. zasługują na zastanowienie:

"Tak jak w Tunisie utrata inicjatywy w pierwszej fazie walki kosztuje sprzymierzonych miesiące, tak każda zwłoka inicjatywy w Europie może kosztować lata. Największą bronią Hitlera przeciw Wielkiej Koalicji zawsze było złudzenie, że czas jest po stronie sprzymierzonych. Rok skutecznej defensywnej strategii nie osłabi Niemców... Hitler wyraźnie gra na czas."

Tak wyglądałaby w Niemczech moralna strona grania na czas. Hitler stara się poza tym materialnie przestawić na wojnę długą. Tu możliwości jego są znacznie bardziej ograniczone, niż w dziedzinie podtrzymania nastrojów. Wyczerpanie, czy wyczerpywanie starych zapasów musiało zrobić olbrzymie postępy. Wzmaganie produkcji dochodzić szybciej do kresu, niż napinanie moral człowieka. Rezerwuwar materialny ludzi już świeci dnem. Ostatnio sięgnięto, poprzez totalną mobilizację, do zapasu ludzi w stanie średnim — handel, rzemiosło, dziennikarstwo, uniwersytety. Policianci odpowiadają mężczyznom

do koszar często bez kart powołania, kobiety masowo idą do fabryk.

Nie zapominajmy jednak i tutaj o ciężkich naszych rozczarowaniach z niedawnej przeszłości. Jeszcze w lipcu 1939 roku pewne odłamy prasy warszawskiej prowadziły kampanię antyniemiecką pod hasłem: o! Niemcy nie mają masła, tłuszczów i chleba, na co im armaty; tylko armatami wojny nie zaczną. A wszystkie obliczenia co do zapasów i dostaw benzyny? Ile już razy kalkulowano w tej wojnie, że pochód wojsk niemieckich zatrzyma się, gdyż nie będzie paliwa dla czołgów i opancerzonych wozów piechoty niemieckiej?

Niemcom tymczasem starczyło sił na doprowadzenie wojny do dnia dzisiejszego, starczy im sił i na rozpoczęcie jeszcze jednej ofensywy militarnej. "Schwarze Korps" zapowiada ją z pasją od chwili porażki pod Stalingradem. Wiadomości pośrednie mówią o dobrym samopoczuciu żołnierzy niemieckich na froncie. Samopoczucie zaś żołnierza w dużej mierze jest wynikiem świadomości, że ma czym walczyć. Poza tym żołnierz niemiecki jeszcze dotąd nie był pokonany — latem. Na wiosnę rośnie więc jego nadzieje.

OFENSywa POLITYCZNA

Kierownictwo Trzeciej Rzeszy zna oczywiście lepiej, niż my wszystkie piętrzące się przed nim trudności. Trudności te niewątpliwie istnieją. Nie zdaje się więc tylko na szanse nowej ofensywy, jakże złudne wobec powtarzania się już od roku paradoksalnej sytuacji, iż latem Niemcy idą naprzód, zimą dostają cieżgi. W Afryce wahadło sukcesów i niepowodzeń stanęło i już im nie może wróżyć niczego dobrego.

I tu jesteśmy u źródeł wielkiej ofensywy politycznej Berlina, która z jednej strony, mackami jeszcze dotąd nawet dla uważnego obserwatora w pełni nie ujawnionymi, usiłuje znowu materializować mrzonkę pokoju kompromisowego, a z drugiej strony stara się skupić podbitą Europę pod sztandarami wojny z bolszewizmem. Obie akcje winny być uważane za przejawy raczej słabości, niż poczucia siły reżimu hitlerowskiego.

Gdyby jednemu z członków Wielkiej Aliantów była bardziej idealna, niż jest w rzeczywistości, to uchwały Casablanki o unconditional surrender załatwiałyby pierwszą formę tegorocznego ofensywy politycznej Niemiec. W obecnej sytuacji jest jeszcze niestety miejsce na szept o roli Japonii w stwarzaniu możliwości rozmów sowiecko-niemieckich. Plotkami tymi musiałby się zająć jednak jakiś specjalista od spraw wschodnich. Obserwatorzy stosunków niemieckich będą natomiast musieli uważnie śledzić działalność nowych przedstawicieli dyplomatycznych Niemiec przy Watykanie i w Madrycie. Pierwszy z nich von Weizsaecker należy do najzdolniejszych,

drugi zaś H.H. Dieckhoff do najniebezpieczniejszych dyplomatów niemieckich, obaj ze stażem dużego znaczenia, sięgającym wstecz do czasów samego Stresemanna.

Jednym z przejawów drugiej formy niemieckiej, wiosennej ofensywy politycznej jest odgrzebanie przez Niemców właśnie w obecnej chwili tragedii polskich oficerów pod Smoleńskiem. Służąc ma ona, obok wielu innych podobnych akcji propagandowych, urabianiu nastrojów dla "nowej Neuordnung". Dotychczasowa "Neuordnung" była aplikowana podobnie Europie w gorzkiej pigułce Herrenvolku, "nowa Neuordnung" podawana jest znękanym narodom europejskim w słodkiej osłonie zasady — wolni z wolnymi, równi z równymi. Nie potrzeba tu szerzej rozwodzić się, że na oba lekarstwa "porządku europejskiego" trzeba by przylepić nalepkę "trucizna" z trupa czaszą odznaki S.S. Totenkopfverbänder jako że te oddziały mają sobie złeczone "czuwanie" nad obozami koncentracyjnymi i służbą bezpieczeństwa.

Berlin przyjął na siebie obowiązki straszenia widmem bolszewizmu. Rzym, mający — zwłaszcza w Rumunii, na Węgrzech i w Bułgarii — trochę kredytu moralnego zaczął ściślejsze formułować zasady "nowej Neuordnung" w artykule Gaydy w "Giornale d'Italia" z 4 kwietnia b.r. Zasad jest sześć: uznanie prawa wielkich i małych narodów do pełnej suwerenności, trwała współpraca wszystkich państw, sprawiedliwy podział dóbr na świecie /n.p. surowców/, wolność narodowego i gospodarczego rozwoju każdego z narodów, wolność mórz i handlu, sprawiedliwość i społeczny pokój w ramach każdego z państw. Nie warto podejmować trudu roztrząsania tych sześciu punktów Gaydy i tuzinów artykułów w prasie niemieckiej, przygotowujących ogłoszenie jakiejś "karty europejskiej." Wszystko tłumaczy się tylko i jedynie propagandą.

Jednym z najsmaczniejszych kąsków dla przyszłych historyków obecnej wojny będzie zestawienie deklaracji i wypowiedzi sprzymierzonych oraz "osi." Nie tylko zestawienie, ale i uporządkowanie według dat. Okazuje się wtedy, że Berlin wylawia wszystkie słabe punkty politycznych posunięć Sprzymierzonych, tak jak kliny niemieckich uderzeń militarnych starają się zawsze kierować w najsłabsze punkty obrony przeciwników. Pomysł "karty europejskiej" zaczyna się tam, gdzie nagromadziły się niedomówienia aliantów o roli Rosji Sowieckiej oraz o stanowiska małych narodów w nowej, uwolnionej od widma niemieckiego Europie. Może się okazać — szedłbym tu na duże zakłady — że osiowa "karta europejska" jest pisana na przekór wszystkim Carrom. I tylko dlatego Niemcy mogli ją wymyśleć.

PRÓBY POZYSKANIA KRAJÓW OKUPOWANYCH

O ile przynajmniej na razie Hitler panuje — jak to widzieliśmy — w pełni nad sytuacją w samych Niemczech, o tyle nawet aparat Gestapo nie zabezpiecza mu panowania nad całym kontynentem. Europa wre, Europa stara się zrzucić narzucone jej jarzmo. Czego nie dokonały bagnety, psy gończe S.S., obozy koncentracyjne, komory gazowe, trujące oponentów, tego ma dziś dokonać dla Hitlera tak zwana "karta europejska," nie jako miraż lepszych czasów, tylko jako widmo mniejszego, niż bolszewizm, zła.

Słowacki minister spraw wewnętrznych Mach wygłosił w Bratysławie przemówienie o roli małych narodów. "Pester Lloyd" na Węgrzech w długim artykule przeciwstawiał się mniemaniu, jakoby pokój europejski był zakładany awanturczą polityką narodów małych:

"Dawniejsze próby wielkich mocarstw — pisał — aby wykluczyć wojny przez takie organizacje jak Święte Przymierze czy koncert wielkich mocarstw, okazały się złudne."

To są oczywiście głosy posłusznych satelitów, choć bardzo przestrzegającym przed upraszczaniem poglądu na sytuację w Słowacji czy na Węgrzech. Także z Turcji i Szwecji można by zanotować głosy podobne. Sam "The Times" stwierdził, że w Estonii i na Łotwie polityczne i dotąd antyniemieckie czynniki w wyniku ostatniego kursu polityki niemieckiej poszły na współpracę z okupantem.

Kurs ten jest taką samą próbą ufortyfikowania Europy, jak rzeczywiste prace Hitlera i Mussoliniego nad wznoszeniem "wału atlantyckiego" czy "wału śródziemnomorskiego." O słabych podstawach tych "fortyfikacji politycznych" może świadczyć wzmożenie akcji sabotażowej w Polsce oraz, właśnie w chwili największego nasilenia propagandy Goebbelsowskiej na te tematy, list protestacyjny kościołów chrześcijańskich w Holandii, zwrócony przeciw gwałtom okupacji niemieckiej. List ten został zaadresowany do Seyss-Inquarta, okupacyjnego kacyka w tym kraju. List protestuje przeciw:

"... narzucaniu światopoglądu, niezgodnego z zasadami Chrystusa... przymusowemu wywożeniu robotników holenderskich na wschód... rozstrzeliwaniu zakładników i systematycznemu więzieniu wielu ludzi, także pełniących funkcje kościelne; niepokojąca liczba jeńców i innych straciła już życie w obozach koncentracyjnych."

Bo jak na razie najlepszą bronią jest polityczna gruboskość niemiecka w administrowaniu podbitą Europą. Goebbels najrzędniej propagandą nie tak łatwo skłoni biednych Europejczyków do zapomnienia o prześlaciach, jakie między Niemcami a resztą Europy wykopały i ciągle pogłębiają bataliony egzekucyjne "germańskiej elity" spod komendy Himmlera.

WNIOSKI

Niniejszy artykuł jest szkicem sytuacyjnym, nie zaś artykułem programowym. Ale nie można przeskoczyć przez sytuację Niemiec i zawojowanego przez nich kontynentu bez wniosku, że do zdobycia niemieckiej fortcey europejskiej potrzeba nie tylko użycia wielkiej siły militarnej, ale i wielkiej koncepcji politycznej. Jeżeli ciągle jeszcze w niektórych kołach sprzymierzonych pokutuje stawianie na — możliwość rewolty Niemców przeciw Hitlerowi, to chyba równego zastanowienia się wymaga polityczne podtrzymanie i wzmocnienie klimatu rewolty całego kontynentu przeciw Niemcom. Europie trzeba jasno powiedzieć, co będzie po pokonaniu Niemiec. Obecna ofensywa polityczna Hitlera bowiem choć nie musi, to jednak może siać zwątpienie. I tutaj czas także jest sprzymierzeńcem, jeżeli nie samego Hitlera, to na pewno Niemiec.

Przyjdzie to jeszcze kiedyś wyjaśnić w atmosferze przyjaźniejszej, niż chwila obecna, która niczego bardziej, i zwłaszcza od Polaków, nie wymaga jak opanowania nerwów i politycznej powściągliwości.

28 kwietnia.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

JÓZEF WINIEWICZ

W SKŁADALNI SPADOCHRONÓW

Motyle nierealne,
Welony powitczyste
Zdejmuje z chmur różowych
Wojenne Babie Łato.
Zakochał się w ich kształcie
Nieznany malarz-mistyk
I wewnątrz to ozdobił
— Fantasta-dekorator.

Na troskę zręcznych palców,
Na ich serdeczne ciepło
Spłynęły skrzydła wązkie
I siecią mgły pajęczą
Osmuły, omotały —
A jedwab cicho szeptał
I w oczy się wpatrywał,
W uważne oczy dziewcząt.

Aż wreszcie przyszli oni
— Żołnierze dróg samotnych —
Z uśmiechem dla dziewczyny,
Dla słońca i dla wiatru.
Więc wszyscy byli radzi:
Dziewczyna, żołnierz, lotnik
I mistyk niewidzialny,
I radiooperator.

Podniebne swe bagaże
Niedbale zarzucili
Na młodość rozkrzyczaną
— I poszli w ranek siny.
Lotnisko w dal ucieka...
Gdzieś w głębi zagrat silnik.
Cień musnął wielkie okna
I zaraz w słońcu zginął.

Zniknęli. Tylko w górze
Nad wyżem widnokregu
Daleko, migotliwie,
Szybocząc milcząc pełzną.
Pan meteorolog
Pochwalił wzrokiem "rękaw"
I rzekł, zadowolony:
"Pogodę mamy niezłą."

Wróciły oczy dziewcząt,
Pobiegły wzgląd, po stołach.
Prostują spadochronów
Jedwabną, miękką piankę.
Znowu jutro przyjdą chłopey
O swoje życie walczyć
I znikną, rozkrzyczani,
W błękit — wczesnym rankiem.

Wspomnienia z obleżonego Tobruku



General Kopański i general de Larminat

III.*

Przed wschodem słońca powrócił Józio z czuwania i przyniósł gorącą herbatę. Z prawdziwą przyjemnością stwierdziłem, że ilość zawartej w niej soli była znikoma. Wczesnym rankiem poszedłem na stanowisko ogniowe a Józio ułożył się do snu. Cały dzień spędziłem na czyszczeniu sprzętu, przypatrywaniu się okolicy i rozmowie z Zygmuntem. Spodziewanego ognia dotychczas nie było. Strzelano gdzieś obok, nas jakoś ominęło.

Przeglądałem się ze zdziwieniem Zygmuntem. Przed wyjazdem był taki rozmowny i dowcipny. Ciągłe opowiadał kawały, wesołe historyjki i żartował. W przeciagu ostatnich kilku dni zaszła w nim głęboka zmiana. Zrobił się mało mówny i poważny. Siedzi zamknięty na skrzynce amunicji i z pod siatki obserwuje przedpole.

Powiedziano nam, że bardzo niedaleko stąd znajduje się nieprzyjaciel, a tymczasem nie widać nikogo. Nie widać także sąsiednich oddziałów własnych i sprzymierzonych. W pustyni przekonaliśmy się o skuteczności maskowania. To pozorne osamotnienie podobne było do samotności w schronie. W spokoju pustyni coś się czaiło, jak szczur w szczelinie schronu. Wziąłem do ręki książkę, ale nie mogę jej czytać. Zbyt jestem zniecierpliwiony. Chciałbym, żeby się już naprawdę zaczęło. Człowiek najwięcej się boi rzeczy nieznanych.

Pod wieczór rozpoczęło się ostrzeliwanie sąsiedniego wzgórza. Wiedziałem, że stoi tam pierwszy pluton, lecz wydawało mi się, iż pociski padają na opustoszałe pole. Każdy rozrywający się pocisk wzniesł olbrzymie słupy kurzu.

Z zainteresowaniem obserwuję zjawiska zachodzące przy strzale. Świsł dochodził mnie parę sekund po rozerwaniu się pocisku. Równocześnie następują w kilku miejscach wybuchy. Prawdopodobnie strzelają całą baterią. Słychać daleki, krótki odgłos odpalania. Zastanawiam się, jak czują się ludzie w takim ogniu. Słupy kurzu i dymu widać przed usłyszeniem świstu. Gniewa mnie to trochę, choć zdaje sobie dobrze sprawę z istoty tego zjawiska. Jest w tym jakby wyjątek z reguły, zjawisko wyłamujące się spod ogólnego prawa o kolejności w następstwie przyczyn i skutków. Widzę kurz i dym wychodzący z ziemi, nie widzę natomiast żadnej spadającej masy. Zdaje się, że to ziemia wyrzuca z siebie nienawistne żelazo i trawiący ją ogień. Zdaje się, że nikt nie strzela. Odgłosy towarzyszące nie mówią o niczym. Czy nie kłamia.

W trakcie tych rozważań uświadomiłem sobie, że kanonada się przybliżyła, że świsty są coraz ostrzejsze a wybuchy powodują obsypywanie się piasku ze ścian rowu. Po chwili znaleźliśmy się w ogniu. Świsty mieszały się z wybuchami i wszystko wokół drżało. Weisnąłem głębiej hełm na głowę przytuliłem się do ściany stanowiska. Wysiłkiem woli zmniejszałem gwałtowne bicie serca i starałem się swobodnie oddychać. Istotnie ta objawowa metoda leczenia strachu okazała się

skuteczna. Zygmuntem był bardzo blady. Mimo, że panowałem nad sobą, czułem drżenie w kolanach i rozluźnienie w stawach.

Powoli przychodziło do siebie. Znajdłem nawet zadowolenie w przewyżczeniu strachu. Trzymam zaciśniętą rękę na różańcu w kieszeni. Z początku trudno mi było się modlić. Potem się przezwyciężyłem i szeptałem słowa modlitwy. Zygmuntem robił to samo. To bardzo pomaga i trudno się wyrzec takiej pomocy i takiego oparcia w godzinie próby ogniowej.

Po pewnym czasie strzelanina przenosi się dalej. U nas już spokój. Czuje się psychicznie poturbowany, szumi mi w uszach i mam niesmak w ustach. Powoli wraca dobre samopoczucie. Lecz jest ono jakby przygłuszone nadmiarem wrażeń. Nie myślę o niczym. Łapię teraz sam siebie na zjawisku dotychczas niespotykanym, na kojącej beznamiętności. Siedzę obok Zygmunta na skrzynce amunicji i nie myślę dosłownie o niczym. Nie mówimy do siebie. Po paru minutach Zygmuntem patrzy na zegarek i cedzi przez zęby słowa: — "Trwało tylko trzy kwadransy."

Wieczór nadchodzi szybko i niepostrzeżenie. Gwiazdy wschodzą. Gwiazdy teraz są jedyną rzeczą, która mnie łączy ze światem, co został za morzem i pustynią, za pierścieniem okopów i nieprzenikalności czasu. Do pierwszej czuwam na stanowisku.

O pierwszej zmienia mnie Antek. Wracam do mego schronu i wydaje mi się, że wracam do bezpiecznego miejsca, gdzie nie słychać było nawet dzisiejszej kanonady. Kładę się na posłanie, na którym razem śpimy. Józio opowiada mi o odkryciu, jakie zrobił podczas mej nieobecności. Znalazł w schronie książkę pisaną po hindusku. Wynika z tego, że ta płachta to jakiś talizman. Lepiej jej nie ruszać.

Zwierzątko, które poprzedniego dnia chciałem zabić, także Józio

narobiło kłopotu. Chciał je przebić hagnetem, ale nie trafił. Zdołał jedynie stwierdzić, że to stworzenie skacze na tylnych łapkach. Był to zdaniem Józia prawdopodobnie skoczek afrykański czyli szczur pustynny. Nie pozostało nam nic innego, jak pójść na kompromis z dawnym mieszkańcem nory. Józio miał dobry pomysł. Włożyliśmy kawałek chleba do szczeliny w ścianie. Chrobotanie ustało. Zapewne, stworzył pożywił się i śpi. Postąpiliśmy zresztą zgodnie z teorią, że kto syty, ten nie zagraża innym. Zachodziła jedynie obawa, że się skoczki zanadto rozmnożą. No, ale tymczasem w naszym schronie był tylko jeden, więc nie było o to obawy.

Skoczek spał, jak susel i ja poszedłem za jego przykładem. Śniły mi się w nocy sny głośnie, pełne zjaw huczących i krzyjących. Potem śniło mi się, że stoję przed sądem ludzi ubranych w mundury z czasów powstania listopadowego. Każdy z nich po kolei wrzeszczał mi do ucha o czymś, co mroziło mi krew w żyłach, a czego nie mogłem zrozumieć.

Obudziłem się z ulgą i leżałem nieruchomo. Była jeszcze noc. Józio przez sen chwycił mnie za rękę i mówił niewyraźnie jakieś nerwowe słowa. Znowu zasnęłam. Rano czułem się bardzo zmęczony. Przed świtem poszliśmy zobaczyć ślady pocisków. Ziemia wokół była porożona. Jeden ze świeżych lejów po wczorajszej strzelaninie, znajdował się zaledwie parę kroków od schronu. Przeglądaliśmy się bez słowa tym śladom nawiedzenia.

Przed południem strzelali znowu. Czytałem psalmy. Nie miałem siły wziąć do ręki żadnej innej książki.

Minęło dużo dni podobnych do siebie i ciężkich. Kilka razy wyjeżdżaliśmy w nocy na specjalne miejsca, skąd ostrzeliwaliśmy pobliskie żywotne punkty nieprzyjaciela. Pewnego razu zostaliśmy na takiej pozycji cały dzień. Przez lornetę obserwowałem tamtą stronę. Był jasny, chłodny poranek. Małe ludzkie sylwetki kręciły się koło schronów. Nieprzyjaciel nie spodziewał się ognia tak wcześnie rano. Drużynowy obliczył dalmierzem odległość i w tablicach stajelniczych szukał jakiejś śmiertelnej recepty. Strzelaliśmy z przerwami parę godzin. Rowami dobiegowymi wycofaliśmy się do skalistego wawozu. Miejscem, skąd nekaliśmy wroga zajęła się bardzo gorliwie artyleria nieprzyjaciela i moździerze.

Kompania kaemów, do której należałem, często otrzymywała zadanie nekania nieprzyjaciela ogniem zbiorowym. Strzelaliśmy przeważnie plutonami. W czasie takich wyjazdów zastępowali nas na stanowiskach stałych sąsiadujący Anglicy.

Coraz bardziej zżyliśmy się w drużynie. Coraz lepsze stosunki panowały między każdym z nas a drużynowym. Wspólne niebezpieczeństwa, wspólny trud i nie-

dola łączyły nas w jedną rodzinę. W garnizonie po zajęciach służbowych każdy mógł żyć swoim własnym życiem. Jeden szedł do kina, drugi miał znajomych, a inny szedł grać w karty do sąsiedniego namiotu. Na froncie trzeba było żyć stale w małym gronie, które zastępowało wszystko.

Czytam już ze spokojem "Księgę Joba" i niedługo ją skończę. Czytam ją ze słownikiem i ta praca daje mi dużo zadowolenia a poza tym odwraca uwagę od beznadziejnej monotonii życia na pustyni. Ta lektura daje mi poczucie spokoju i umacnia mnie w wierze i przekonaniu o przemijalności doczesnych cierpień i doświadczeń. Przesiąkam filozofią Joba. Czemu przejmować się tym, że mogę w każdej chwili zginąć. Przecież i tak i tak umrę. Jeśli nie teraz, to na pewno za kilkadziesiąt lat... A cóż jest życie ludzkie? "Cóż jest człowiek narodzony z niewiasty?" — pyta Mędzec Pański — "Wschodzi jako kwiat, życie jego pełne jest cierpień i ginie jako cień."

Odbija się w mojej duszy przeciekanie wartości. Myśli najrozmaitsze i dążenia przeliczone na ziemienne, wieczne asygnaty wydają się blade. Wydają się tak znikome — Bóg mówił "z wichru" do Joba. Bóg może mówić z huku wybuchających pocisków i bomb i kryć się może w szupie ognia i dymu, jak ongiś zasłaniał się krzykiem górejcem. Światobliwy Job, wór niedościgniony potrafił odważnie patrzeć na bezwzględny, bezlitosny tragizm życia, potrafił nieugięcie przetrwać wszystkie próby, chociaż go szatan straszył otehlnością rozpacz.

Co dzień do nas strzelają. Znowu kilka razy jeżdżiliśmy strzelać ze wzgórz. Poza tym ciągle to samo. Doszły mnie wieści, że mają przdzielać po kilku z plutonu do drugiego batalionu na wzmocnienie wysuniętych punktów. Tam będzie się chodziło na patrole. Prosiłem drużynowego, żeby mnie tam posłał. Odpowiedział, że powie dowódcy plutonu.

Z mego pamiętnika dowiaduję się, że jest to już dwudziesty szósty dzień pobytu na froncie. Dziś nasza artyleria mocniej, niż zwykle bije po niemieckim odcinku blisko morza. Podobno kawaleria ma robić wypad i już naprzód obrzydają życie szwabom. W nocy poprawiamy schrony i budujemy dwa nowe stanowiska zapasowe. Praca jest bardzo ciężka. Nie przebudowyujemy naszego schronu chociaż nam tak radzą. Józio i ja jesteśmy zbyt leniwi na to. Tak i tak jak kogo ma trafić, to trafi. Przekonałem się później o słuszności tej zasady. Do niebezpieczeństwa można się z czasem przyzwyczaić jak do dokuczliwego niedomiaru wody.

W trzydziestym drugim dniu pobytu na froncie zaczęła się burza piaskowa. Zaczęła się słabym, lecz gorącym wiatrem z południa. Z początku wznosiły się tylko małe tumany kurzu a teraz już Bożego świata nie widać. Jest tak duszno,

że trudno dech złapać. Nasi Milusińscy /tak Józio przeżywa Włochów/ puścili nam parę pocisków na rejon drużyny. Podniósł się ogromny kurz i przestali strzelać.

* * *

Burza piaskowa trwa już trzeci dzień. Właściwie to burza pyłowa. Anglicy nazywają to: "dust-storm." W takim czasie bardzo łatwo wylecieć na minie, bo wszystko jest zasypane pyłem. Poza tym jest dużo roboty, bo piasek wypełnia rowy w przeciagu kilku godzin. Otwory schronów trzeba bardzo szczerze zatykać. Piasek mimo to dociera wszędzie. Pełno go w kieszeniach, na kocach i w karabinie. Piasek sypie się do oczu i chrupie między zębami w czasie jedzenia.

Zapaliłem w schronie lampkę benzynową i czytam Don Kichota. Jest spokój i mogę się do tego zabrać. Muszę stale strzepywać ręką piasek ze stronic, bo zupełnie zasłania mi litery. Czytam i jest mi dobrze. Don Kichot ukazuje się na kartach książki, jak posłaniec z życia, o którym już dawno zapomniałem. Śmieję się czytając przygody błędnego rycerza. Śmieję się, choć widzę, że jest w tej powieści smutna prawda o ironii życia. Zał mi chwilami niefortunnego bohatera i współczuję mu w jego nieszczęściu. Smutna strona Don Kichota schodzi na drugi plan. Śmieję się z sytuacji, bawią mnie opisy, cieszą mnie dowcipy. Dziwię się, jak można tyle uwagi poświęcać jednemu człowiekowi, istocie, którą może unicestwić w jednej chwili zwykły żelazny i prochem nadziewany pocisk artyleryjski. Dziwię się, lecz dochodzę do wniosku, że moje zdziwienie się jest bezpodstawne.

Piasek zasypuje, zakrywa przede mną smutną stronę życia, lampka i wicher świszczący w szczelinach dachu nastroja mnie sentymentalnie. Przemyślam oczy i myślę o wesołej gospodzie hiszpańskiej, gdzie z beczki sączy wino. Ciekłe, zimne wino sączy się do wyszczerzonego gardła. Tam za stołem siedzi gospodarz i coś opowiada. Cienie lampy oliwnej wędrują po ścianie a w alkowie stoi się córka gospodarza. Za drzwiami świeci księżyc, a przy księżycu świeci się tłusta i okrągła twarz Samsy Pansy.

Już noc. Na pustyni burza. Przypominają mi się spacery wśród chłodu i ciszy naszych polskich wieczorów. Przypomina mi się dom. Dziś nie mógłbym czytać żadnych wierszy...

Burza ustala i znowu nastąpi monotonna noc. Artyleria strzelała dzień w dzień. Zdawałem sobie sprawę, że ta zabawa może się niezabawnie skończyć. Pewnego popołudnia, kiedy Józio z drużynowym siedzieli na stanowisku, do mego schronu przyszedł z wizytą angielski sierżant. Rozmawialiśmy na temat, jak wielki był może ból w wypadku urwania nogi lub ręki. Byliśmy zgodni co do tego, że śmierć od pocisku jest bezbolesna. Dopiero po namyśle doszedłem do wniosku, że rozmowa była właściwie idiotyczna. Po co o tym gadać? Przypomniało mi się wtedy przysłowie o wywoływaniu wilka z lasu.

Przed zachodem słońca, podczas dość silnej strzelaniny usłyszałem krzyk drużynowego. Rowem dobiegowym rzuciłem się pośpiesznie na pomoc. Józio stracił rękę i został ciężko ranny w drugą rękę i nogę. Noga drużynowego wisiała na kawałku skóry. Odciał ją sobie szczerzykiem. Obaj ranni musieli czekać aż do zmierzchu na karetkę sanitarną. Józio bardzo cierpiał a drużynowy zemdlął. Po zachodzie słońca zabrano ich do szpitala.

Nie mogłem znowu o niczym myśleć. Przeglądałem się bez wzruszenia jak Zygmuntem zakopywał koło schronu nogę podchorążego M. Ogarnęła mnie zupełna obojętność na wszystko. Wieczorem miałem nerwowy apetyt i wypłem porcję kompotu i wody, która należała się Józio. Wieczorem w schronie było strasznie pusto i szczur pustynny, mój jedyny sąsiad chrobałał całą noc, chociaż włożyłem mu do nory kawałek chleba.

Z mych notatek wynika, że był to czterdziesty pierwszy dzień na froncie.

BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI

Punkt obserwacyjny pod Tobrukiem



* Por. nr. 16-17 i 18 "Polski Walczącej" z b.t.

Od wrót Tamerlana do Piccadilly

VI. Pod Krzyżem Południa*

PRZEZ WROTA LEZ I RÓWNIK

Ołbrzymi transportowce płynęły szybko na południe, gnany całą mocą swych potężnych turbin. Gorąco wzrastało z każdym dniem. Spać na pokładzie zezwolono tylko garście polskich marynarzy, mogących się przydać w razie alarmu. Reszta musiała dusić się i pocić na dolnych pokładach.

Mimo to nastroj był wesoły, porządek wzorowy. Którejś nocy minęliśmy Bab-el-Mandeb /wrota lez/ i wypłynęliśmy na Ocean Indyjski. Od Wysp Maurycyjskich i Sokotry powiało na nas mussonem, pachnącym goździkami i gałką muszkatałową.

Wielka Niedźwiedzica jakoś dziwnie wędrowała po horyzoncie, aż wreszcie znikła zupełnie. Którejś nocy, leżąc na najwyższym pokładzie — między Kaziem i Staśkiem, dwoma marynarzami polskimi — ujrzałem po raz pierwszy Krzyż Południa. Odtąd świecił nam przez cztery z górą miesiące.

Okręt prul wodę z szelestem rozdieranego jedwabiu, wzbijając po obu burtach fosforyzującą falę, przy której świetle można było niemal czytać. Ocean — granatowy, obramowany białą pianą, grzywacz, był łaskaw dla nas. I łaskawe było niebo, usiane miriadami gwiazd.

Któregoś dnia minęliśmy Równik. Nie było żadnych ceremonii, jako że to czas wojenny. Obwieściłem o tym żołnierzom polskim przez głośnik... W ogóle, jeśli kiedykolwiek śniło mi się, że z pomocą takiego okrętu przemawiać będę przez mikrofon, albo, z polecenia dowódcy, wydawać rozkazy dla załogi w czasie alarmów próbnych, to — mówiąc stylem Zagłoby — niech mnie kule biją!

Swoją drogą pocziwy pułkownik L. — kwatermistrz okrętu Jego Królewskiej Mości — ofiarował mi na pamiątkę tego dnia papierkę, na którym stało w staroświeckiej angielszczyźnie:

"My, Król i władca tych mórz stwierdzamy, że 11 czerwca 1942 roku o godzinie szesnastej, przedstawiciel niniejszego paszportu przekroczył granicę Naszych głębokich posiadłości na pokładzie okrętu J.Kr. Mości /tu nazwa/. Wezwany przed Nasz Sąd Morski, w obecności Naszej Małżonki i Jej Panien Wodnych, okazał swe listy wiarygodności, które zostały należycie zbadane przez Prokuratora Generalnego Naszych głębów. Poczem oczyszczony z grzechów przez Nasze pijawki morskie z wstrętnym ciałem obmytem przez Naszych golarzy, ochrzczony został pianką Naszych wód terytorialnych przez dwa najbardziej wierne Nam niedźwiedzie morskie."

Tedy tym Rybim Dekretem darujemy go Wieczną Wolnością Morską po wsze czasy i pory roku, aby mógł żeglować bezpiecznie, na powierzchni lub pod powierzchnią Naszego Państwa, bez jakiegokolwiek opłaty, pod warunkiem dotrzymania Nam zawsze wierności i respektowania Wolności Mórz. Gdyby jednak stał się winnym naruszenia Prawa Morskiego czy też dał inny dowód złego prowadzenia się, tedy zgromadzić wszystkie Nasze Białe Konie Morskie, odwołam Panny Wodne, poczem wymierzę mu one karę w postaci śmiertelnej i zielonej choroby..."

Widać Neptun był z żołnierzy zadowolony, skoro nie tylko ominęła nas choroba, ale ominęły też... okręty podwodne nieprzyjaciela. Polowały na nas długo, zatopiły nawet kilka małych frachtowców na naszym szlaku /w tym przez pomyłkę neutralnego Portugalczyka/, ale nas, taką wielką i cenną łajbę — przegapiły, choć musieliśmy płynąć przez Bab-el-Mandeb i Mozambik.

Runęła jeszcze jedna legenda: o niezawodnym wywiadzie "osi."

ZMIJE I ZMIJKI

Durban leży na Antypodach. Ale czyni raczej wrażenie miasta amerykańskiego, z tą tylko różnicą, że jest mniej skupiony, a bardziej egzotyczny i malowniczy. Ot na przykład siada się na tarasie kawiarni, a tu naraz "spa-

* Por. poprzednie artykuły cyklu: "Przez piaszki Kara-Kum" druk w nr. 1, "Śladami Aleksandra" druk w nr. 6, "Droga do Bagdadu" druk w nr. 9, "Ku Ziemi Obiecanej" druk w nr. 13, "Ziemia Święta" druk w nr. 14 "Polski Walczącej" z b.r.



Bulwar portowy w Durbanie

da z nieba" małpa, wyrwa bułkę z ręki, zlizuje konfitury i bułkę z gracją... zwraca na stolik. Na takie marnotrawienie pieczywa pozwolić sobie dziś mogą chyba tylko małpy, i to w Południowej Afryce.

Zresztą Południowa Afryka zawiodła już niejednego. Małpy są wprawdzie w kawiarniach, ale słonie, hipopotamy i krokodyle tylko w Parku Narodowym, do którego jedzie się piękną, asfaltową szosą w luksusowym samochodzie, prowadzonym za to przez antyloponą i gazelą-oka miss. Bezpieczeństwo jest tak wielkie, że owe "miski" spotkać można w najdalszych okolicach — same, za kierownicą jakiegoś "Buicka" czy "Dodgea." A do Kraalów murzyńskich jedzie się autocarami Cook'a, płacąc czarnym dziewczynom po 6 pensów za prawo sfotografowania ich bujnych piersi...

Prawda, są węże. Brygadier brytyjski, który mnie bardzo polubił, zapoznał mnie z dwiema starszymi paniami, które, jako atrakcję, wymyśliły zwiedzanie "snakehouse'u." Napatrzałem się tyle na różne pytony, kobry, constructory, żmije wodne i lądowe, że potem budziłem się w nocy z uczuciem, iż coś pełza po pokoju... Nie mając w sobie nic z fakira, nie czułem żadnej przyjemności w takim "realizowaniu" słynnej sceny z filmu "Bengali."

Przysłowie twierdzi, że w Południowej Afryce ptaki nie śpiewają, rzeki nie mają wody, kwiaty zapachu, a kobiety serca. Mielimy nieraz okazję przekonać się o tym na własne oczy. A szlachetne wyjątki tylko potwierdzały regułę.

Ot, na przykład, jeden z młodych oficerów zakochał się po polsku /to znaczy "na zabój"/ w panience, która, sądząc ze wszystkich namacalnych pozorów, zdawała się darzyć go wzajemnością. Jakież było rozczarowanie naszego porucznika, kiedy któregoś dnia "narzeczona" oświadczyła mu, że wyjeżdża na miesięczny urlop.

— Ależ ja mogę iść z nią! — odparł. — A ty dobrowolnie skracasz czas naszej miłości! To chyba jakieś nieporozumienie? — Nie — odparła bogdanka. —

Wynajęłam hotel na miesiąc z góry i zapewniłam sobie urlop. Nie mogę stracić jednego i drugiego dla Ciebie...

Innym znów razem najidealniej zakochany kapitan, pewny, że jest jedynym wybranym losu, wyciekiwał z płomienną niecierpliwością damy swego serca. I w ostatniej chwili otrzymał telefon, że dama nie przyjdzie, ale zaprasza go na "party" z innym kapitanem /tym razem poddanym Jego Królewskiej Mości/. Czekający trubadur poczuł groteskową sytuację i w porę otrząsł się.

Osobiście miałem w Durbanie dwie "przygody." Raz zaproponowałem młodej panience, imieniem Betty, wspólne spędzenie wieczoru. Gdy jednak chciałem z nią wsiąść do autobusu — rzekła z przekąsem: — Jak żyję jeszcze autobusem nie jechałam!

— Sorry — odparłem. — Nie mogę pani ofiarować samochodu, bo mój "Peugeot" padł ofiarą wojny. Wobec tego może pójdziemy piechotą?...

Druga przygoda zakrawa na nowelkę Edgara Poe:

Któregoś wieczoru poznałem śliczną "Waaf'kę", istnego czekoladowego żołnierzyka. Kokietowała mnie niedwuznacznie i wzrokiem, i ruchami, i pięknym holenderskim nazwiskiem — powiedziałem Van der Terneuzen. Dwa rendez-vous nie doszły jednak do skutku z jakiejś tajemniczej siły wyższej. Gdy odwołała trzecie, twierdząc, że jest chora, postanowiłem ją odwiedzić.

Nie czując się pewnym zwycięstwa, wziąłem — jako awangardę strategiczną — miłego i uczynnego porucznika. Zbliżył się wieczór, gdy odnaleźliśmy ukrytą wśród palm i eukaliptusów willę. Obok — otoczone niskim murem — ciągnęły się jakieś ogrody.

Porucznik X. wszedł śmiało do willi, ja czekałem na "wolną drogę." W tej chwili z domu wyszło czterech czarnych z łopatami i rozpoczęło — cicho przyspieszając — jakąś pracę w ogrodzie. Potem wyszło jeszcze dwóch, również z łopatami. Ci nawet uśmiechnęli się do mnie życzliwie, jeden z nich zasalutował zamaszko i coś zagadał w swoim murzyńskim dialekcie. Nie zrozumiałem dobrze o co mu chodziło, bo w tej chwili

li poproszono mnie do wnętrza.

Pani van der Terneuzen siedziała na kanapie w puszystym peniuarze, uwydatniającym jeszcze bardziej jej wspaniałą urodę. Twierdziła, że boli ją ślepa kieszka, co nie bardzo się zgadzało, bo chwyciła się za lewy bok /wszelkie dane medycyny twierdzą zgodnie, że kieszka owa leży raczej po prawej stronie!/. Papa i mama poczęstowali nas wprawdzie pyszną butelką "Drakenstein," ale też ani na chwilę nie wyszli z pokoju. Nagroda mojej troskliwości o zdrowie wybranki był więc tylko kilkakrotny, zniemienny uścisk dłoni.

Gdy po pół godzinie opuszczaliśmy willę, zapadał już szybki podzwrotnikowy zmrok. Papa wyprowadził nas na drogę. Przeszło jeszcze dwóch czarnych z łopatami i pozdrowiło go uniżenie.

— Ma pan tu piękny ogród — zagadnął mój towarzyszy.

— O, yes, — odparł papo. — Może panowie obejrzą?

Przez grzeczną podszliśmy bliżej. Było już prawie ciemno. Nad głową przeleciał nam ołbrzymi nietoperz. Gdy stanęliśmy przy bramie, wyszli znów czarni z łopatami.

— Ma pan widać wielu ogrodników — rzekłem.

— O nie — odrzekł. — To tylko grabarze.

Ogród okazał się cmentarzem, a papo mojej flamy — dyrektorem tej arcyspokojnej i bezpartyjnej instytucji. Pożegnaliśmy go tedy czym prędzej. Idąc ciemną już dróżką, mieliśmy niemiłe dreszczyki. W końcu wzięliśmy nogi za pas... W nocy śniła mi się pani tego domu w postaci... szkieletu, brząkającego kośćmi jak kastanietami.

I tak skończył się niedoszły romans z Anną van der Terneuzen.

PIETERMARITZBURG

— Dlaczego to miasto tak się nazywa? — spytałem podstępnie.

Piękna pułkownikowa spojrzała na mnie ze zdziwieniem i odparła:

— It is simply a name.

Biedny Pieter-Maritz, bohater narodowy Boerów, co pobił na szczycie Majuby brygadę Sir Cecil Colley'a, zapewne nieraz już przewrócił się w grobie, czując jak przemija sława świata. Ale my,

Polacy, co jako dzieci zachwycałymi się cudną książką o afrykańskim bohaterze i przeżywalismy jego przygody jak własne — pamiętaliśmy... To też Pietermaritzburg stał się nam odrazu bliski.

Co prawda nie tylko dlatego. Ludność przyjęła nas niezwykle serdecznie. A szczególnie połowa owej ludności, niesłusznie "słabszą" zwaną. Po tygodniu każda obywatelka Maritzburga chciała mieć swego Polaka. Te, które nie miały — wstydziły się i szukały na gwałt, nie chcąc odskoczyć od "bon tonu." W rezultacie nasz dyżurny telefonista nie mógł się opędzić towarzyskim "zapotrzebowaniom" — po kilkanaście dziennie.

Było z tego moc komicznych sytuacji, jako że bracia polska stawała dopiero pierwsze kroki w dziedzinie języka angielskiego. Ot, na przykład, pokazywał taki młodzieniec na usta i mówił "niam-niam," mając na myśli wspólną kolację. A dziewczyna — rozumiała co innego i podawała raczej... pokarm duchowy. Trzeba było dużych wysiłków, aby wytłumaczyć "Pietermaritzburgowa-nieczkom," że "niam-niam" nie znaczy po polsku... całować.

Bywały też inne rzeczy. Na przykład pytano czy w Polsce są tramwaje, albo czy cały rok pada śnieg. Odparłem raz, że stale jeździ się sankami, a po ulicach często chodzą białe niedźwiedzie.

— How dreadful — zawołała panna, nie kryjąc przerażenia.

— I zjadają z zamiłowaniem takie śliczne dziewczęta, jak pani — dodałem.

Wówczas dopiero zrozumiała, że to żart; tłumaczyła się, że przecież Polska "taka mała i tak daleko, więc kto by to mógł o niej wiedzieć."

Innym razem minister jednego z resortów Unii prosił mnie, żeby orkiestra zagrała "Sonatę Beethovianą" Paderewskiego /!/. Odparłem:

— Sorry, Sir. Ale "Sonatę" napisał Beethoven, a poza tym jest to utwór nie na orkiestrę, ale na fortepian.

Ciekawe, że zwiedzając szkołę znalazłem podrepektora omawiającego bardzo dokładnie geografie Polski. Ignorancję naszych spraw należało więc tłumaczyć tylko brakiem zainteresowania — charakterystycznym dla tamtejszego społeczeństwa. Te dwa miliony białych, żyjących na olbrzymich połaciach Unii Południowo-Afrykańskiej w komforcie i dobrobycie — zadowolone były z życia i biznesu. Pociąg się troszczyć o jakąś tam biedną Europę — tu właśnie wśród pół diamentowych i złotodajnych piaszków?

Pochlebiamy sobie, że po naszym wyjeździe z Pietermaritzburga sprawy polskie były tu lepiej znane, niż gdzie indziej. Ale nie zawsze spotykaliśmy się z niewiedzą.

Zacna pani Moore, rodzona siostra żony Conrada-Korzeniowskiego, wdzięczna była każdemu Polakowi, co zechciał odwiedzić jej "cottage," położony na wzgórzu wśród gajów pomarańczowych i bananowych, plantacji ananasów i drzew gumowych. Pokazywała z dumą pulpit wielkiego pisarza, na którym pisał w łóżku, opowiadała chętnie jak to przepisywała mu na maszynie jego utwory, zmuszona do wystukiwania kaprysnych i nerwowych, ale jakże słusznych uwag. No i wiedziała dużo, bardzo dużo o Polsce.

A zresztą co to mówić o znajomości Polski, kiedy raz kapitan rodem z Malty, opowiadając dzieje wyspy, wyraził się, że Nelson uwolnił ją od Francuzów w 1810 roku. Zauważyłem skromnie, że Nelson poległ pod Trafalgarem 21 października 1805, nie mógł tedy uwalniać Malty w 5 lat później. Nasz brytyjski brygadier wskazał wówczas palcem na "Maltańczyka" i rzekł nie bez ironii:

— Polak to panu mówi...

No, ale jak się panuje na wodach świata, to można nawet czasem nie znać historii czy geografii. Historię i geografie robi za przeciętnego brytyjskiego obywatela — "Royal Navy."

JIM POKER



Widok na miasto Capetown

Montgomery

Ósma Armia przejdzie do historii podobnie jak „La grande Armée” Napoleona, a Montgomery doczeka się pewnie niejednego życiorysu. Po pierwsze, bo na to sobie zasłużył, a po drugie, bo posiadają te wszystkie zewnętrzne cechy, które są potrzebne, aby działać na ludzką wyobraźnię: są fotogeniczni, są anegdotyczni, widzimy ich wiecznie w ruchu, ich działalność cechuje inteligencja i współczesność, no i mają najlepszego na świecie impresarię — angielską maszynę propagandową.

W chwili upadku Francji, Armia Wschodnia składała się głównie z Francuzów i znajdowała się pod dowództwem gen. Weyganda. „The Army of the Nile” — jak się wówczas jeszcze Ósma Armia nazywała — była pod wodzą gen. Wavella i liczyła zaledwie 5,000 żołnierzy. Była nieuzbrojona — według standardów współczesnych, nie miała lotnictwa i nie miała broni pancernej. Największym jej atutem była brytyjska flota śródziemnomorska pod dowództwem admirała Cunninghama, a i ona czerpała swą siłę w energii, inteligencji, przedsiębiorczości i „moral” Brytyjczyków, a nie w doskonałości technicznej. Bo cóż znaczą flota bez osłony powietrznej, której adm. Cunningham przez długi czas nie miał w ogóle.

Położenie strategiczne Egiptu było bodajże jeszcze gorsze. Wcisnięty klinem między armie Grażaniniego i księcia d'Aosta Egipt wydawał się po utracie tego oparcia, jakie miał w syryjskiej armii Weyganda łatwym żerem dla byle najeźdźcy. Gdy Włosi zajęli Somali i posunęli się aż po Mersa-Matruh, trzeba było być upartym Anglikiem, aby się nie załamać. I trzeba było być Polakiem, aby przedrzeć się Brygadą Karpacką do obozu, którego losem mogła być tylko śmierć.

I gdy z tej głębi poniżenia za ledwie po pół roku wyniosła się Ósma Armia na szczyt zwycięstwa, to w samym kontraście leży sekret jej sławy. Mówi się, że największym błędem Hitlera było to, że nie zaatakował Anglii po Dunkierce. Ale pomyślmy jakby wyglądały losy wojny, gdyby Hitler wysłał Rommla do Afryki o pół roku wcześniej. Zdobyłby Egipt — wówczas nieuchronne — otworzyłby mu wrota aż do Oceanu Indyjskiego. Palestyna a nade wszystko złoża naftowe Iranu i Iraku byłyby już w jego łupem. Zaoszczędziłby sobie Hitler kłopotu wojny greckiej i jugosłowiańskiej. Kto wie jak historia osądzi kiedyś ten błąd Hitlera. Może przypominaj owo powiedzenie Napoleona: „Jeśli Italia jest Twoim wrogiem, wyslij 2 dywizje, aby ją zaszachować, jeśli jest neutralna, wyslij 3 dywizje, aby jej pilnować, lecz jeśli jest Twoim sprzymierzeńcem, musisz wysłać 10 dywizji, aby ją ratować.” A może stwierdzi, że nie było błędu, że to po prostu przeżyła silniejsza wola zwycięstwa, lepsze nerwy i zdrowszy osąd Brytyjczyków.

Nie trzeba wymieniać wszystkich etapów epopei libijskiej. Są one w zbyt świeżej pamięci. Zresztą nie chodzi tyle o fakty — które wymagają monografii — ile o charakterystykę.

Pierwszy etap walki — „Wavell's 30.000” — był okresem bohaterstwa. Jednoczył w sobie takie pierwiastki bohaterstwa, jak: przynajmniej przewagę wroga, beznadziejność, zda się, ogólną sytuację wojenną, wspaniałego ducha żołnierskiego, determinację, odwagę, brawurę i fantazję.

Nawet późniejsza klęska ma w sobie ten pierwiastek heroizmu uosobiony w obronie Tobruku.

Drugi etap — pochód Auchinlecka aż po El Agheila i nieszcześliwy odwrót oraz upadek Tobruku, były jak gdyby zawikłaniami tego dramatu z prawdziwego zdarzenia. Napięcie wzrastało w miarę akcji aż do punktu kulminacyjnego, którym było okopanie się pod El Alamein, odparcie pierwszego ataku Rommla i dramatyczna zmiana dowództwa. Wówczas po raz pierwszy usłyszano nazwisko — Montgomery.

Ta klęska i ten okres słabości dały jednak Ósmej Armii jedną rzecz nieocenioną. Zahartowały ją, jak tylko może zahartować niepowodzenie. Gdy świat cały urgał, gdy Hitler mówił o „diese militärische Idioten”, gdy Ameryka stawiała bezceremonialnie zarzut niedołęstwa, gdy wieści z innych terenów boju — z Hong-Kongu, z Singapuru, z Sumatry — były jednym pasmem klęsk, Ósma Armia przechodziła swą najcięższą próbę. Próbę swego „moralu” — i przeszła ją zwycięsko. Ktoś słabszy byłby się załamał, ktoś mniej odporny byłby się ugiął lub spaczył. Żołnierze Ósmej Armii stali się weteranami. Klęska nie zabiła ich ducha.

Ale te niepowodzenia nie przeszły bez śladu. Zakończyły okres heroiczny. Ósma Armia stała się nowoczesną armią zawodowców. Rozbicie Rommla pod El Alamein i 1500 milowy pościg do Tunisu — a należy sobie uświadomić, że 1500 mil to odległość z Londynu do Moskwy — to nie był tylko wyczyn heroiczny. Heroizm jest natchnieniem chwili. Klęska zadana Rommlowi to wynik inteligentnej myśli wojskowej, planowania, treningu i wytrzymałości moralnej i fizycznej.

Dwa pierwsze okresy kampanii afrykańskiej — okres heroiczny i okres dramatyczny — były barwne i działały na wyobraźnię, ale dla badacza spraw wojny współczesnej mają wartość jedynie historyczną. Są nie mniej odległe, jak kampanie Napoleona czy bitwy Belizariusza. Obie strony popełniały błędy i tylko temu należy zawdzięczać, że decyzja — przypadkowa decyzja — nie padła wcześniej. Jednak dopiero kampania gen. Montgomery'ego stała się pierwszą próbą wojny współczesnej; olbrzymią retortą doświadczalną, tysiąc razy większą w terenie walki i w sile, niż eksperyment hiszpańskiej wojny domowej.

Choć w ostatecznym bilansie obecny dowódca 8-ej Armii dzieli swe zwycięstwo z Alexandrem, Auchinleckiem, Ritchiem, Wilsonem i Wavellem, to jednak bitwa o Afrykę skojarzy się w hi-

storii z nazwiskiem Montgomery'ego a nie innych generałów, gdyż dopiero on dał przekonującą próbę współczesnej myśli wojskowej i z próby tej wyszedł zwycięzca. „Montgomery has out-generalled Rommel.”

Montgomery objął dowództwo w połowie sierpnia 1942 r. Gdy w dwa tygodnie później Rommel zaatakował jego lewe skrzydło, został 4 września zmuszony do wycofania się. Montgomery odniósł swe pierwsze zwycięstwo. Biorąc pod uwagę, że armia jego nie była wówczas jeszcze dostatecznie uzbrojona, że on sam był niezbyt doświadczony w wojnie na pustyni, a jego przeciwnik okazał się jej mistrzem, uzyskuje się miarę zarówno człowieka, jak i generała.

Po tej pierwszej, czysto defensywnej akcji Montgomery nabierał tchu aż do 23 października, gdy z 400 dział lunął ogniem i zniszczeniem na wąski sześciomilowy front Rommla. Bitwa pod El Alamein — z której znaczenia historycznego wszyscy zdajemy sobie sprawę — była bardzo inteligentnym zastosowaniem taktyki z ubiegłej wojny na nową skalę i możliwości współczesne.

Wąski front i warunki terenowe ułatwiały Rommlowi obronę. Koncentracja czołgów nie była w tym wypadku przywilejem strony atakującej. Ponieważ nie było możliwości zaskoczenia czy obejścia, Niemcy mogli skoncentrować swe czołgi w takim punkcie poza linią frontu, aby mogły każdej chwili przejść do kontrataku, gdy ofensywa angielska wyczerpie siłę pierwszego uderzenia w kosztownych zmaganiach z polami minowymi, artylerią przeciwpancerną i piechotą.

Lecz Montgomery zaskoczył Niemców i cały świat najzupełniej odmienną — choć bynajmniej nie nową — taktyką. Przyduł wroga huraganowym ogniem artylerii i lotnictwa i pod osłoną tego ognia — tak samo jak się to działo 25 lat temu — piechota i saperzy posuwali się wolno, ale nieuchronnie naprzód wypierając Niemców z pozycji obronnych i oczyszczając pola minowe. Gdy po przeszło tydzień trwającej walce znieśli obronę wroga, brytyjskie siły pancerne, świeże i niezużyte rozbiły czołgi Rommla i zmusiły go do tej najdłuższej na świecie ucieczki.

„Niechaj wolno mi będzie złożyć hold temu gwałtownemu i wielkiemu generałowi, o groźnej i oschlej postaci przypominającej Cromwella, surowemu i niezmordowanemu, który całe życie poświęcił studium wojny i który zdobył sobie bezmierne zaufanie i oddanie swej armii.” Oto słowa, którymi Churchill nagroził Montgomery'ego.

Montgomery — syn biskupa

Tasmanii — ma w sobie coś z owych rycerzy surowych i nieugiętych, mimo to bardzo ludzkich i właśnie dlatego tak pociągających. Wychudła, pełna wyrazu twarz o głębokich inteligentnych oczach. Postać skromna w ruchach, nosząca się z pewną niedbłą nonszalancją. Spodnie pomięte, bluza battledressu i słynny już dzisiaj beret, który stał się symbolem podobnie jak cygaro Churchill'a, uzupełniają opis zewnętrzny Montgomery'ego.

Jakże charakterystyczną była owa fotografia, którą pokazały gazety angielskie, gdy zdobywca Tripolisu dyktował warunki poddania operetkowo umundurowanym Włochom. W tym spotkaniu i w tej fotografii widać było groteskowy kontrast, który, kto wie, może leży u podstaw obecnego konfliktu. Kontrast pomiędzy spokojną, nieegzaltowaną siłą pokojowo usposobionej Anglii, a wojowniczym pobrękiwaniem szabellki dla dodania sobie odwagi/rozmaitych nadętych megalomanów.

Dziesiątki anegdot i opowiadań na temat Montgomery'ego świadczą o jego popularności. Nie są one wszystkie prawdziwe, ale jak w każdej anegdocie jest w nich ziarno prawdy, z którego łatwiej odtworzyć człowieka, niż z suchej historii.

Wendell Willkie, nie tai swego podziwu dla gen. Montgomery'ego. W swej książce, która wyszła parę tygodni temu w Ameryce p.t. „One World” tak o nim pisze: „Duże wrażenie zrobiła na mnie grubość Montgomery'ego i jego znajomość swego fachu. Znał więcej szczegółów o rozmieszczeniu wojsk i czołgów, niż odnośny dowódca sztabu korpusu, dywizji, brygady czy pułku. Wydaje się to przesadą, ale tak było naprawdę. Jego znawstwo szczegółów było zdumiewające.”

Gdy Willkie był w Egipcie i gdy pojechał na front, aby odwiedzić Ósmą Armie — a było to wówczas, gdy nie wiadano jeszcze, że bitwa pod El Alamein jest już wygrana i gdy co lżejsi Europejczycy pakowali manatki i szykowali się do ewakuacji i gdy nawet sam Roosevelt myślał, że Egipt może wpaść w ręce niemieckie, gen. Montgomery głosem spokojnym i bynajmniej nie w tonie przechwałki powiedział do Willkie'go: — „Posiadam w wyniku obecnej bitwy przewagę czołgów i lotnictwa. Rommel nie może otrzymać posiłków przez Morze Śródziemne, gdyż nasze lotnictwo niszczy 4 z 5 jego transportów. Jest matematyczną pewnością, że go w końcu zniszczę. Ta bitwa była próbą krytyczną.” — „To wam mówię, Willkie, jedynym sposobem aby zniszczyć Niemca, to nie dać mu spokoju. — Give them no rest!”

— Ci Niemcy, to dobrzy żołnierze. To zawodowcy, a Rommel, to wyszkolony i zręczny generał. Ale ma jedną słabość. Powtarza się. I tu go dostanę.”

Korespondent „Sunday Expressu” cytował raz następujące powiedzenie Montgomery'ego: — „Najlepiej walczy uświadomiony żołnierz. Wie on, co ma uczynić w chwili krytycznej. Żołnierz brytyjski jest jednym z najlepszych na świecie. Dobrze dowodzić, to znaczy natchnąć ludzi zaufaniem do swych generałów. A zaufanie rodzi się tylko z pełnego uświadomienia o tym, co się dzieje.”

Następujące anegdoty przytaczamy za „Daily Expressem.”

Gdy zdobył Tripolis, wysocy oficerowie amerykańscy chcieli się z nim spotkać, aby omówić przyszłe plany. Anglicy w Algierze, którzy dobrze znali bezpośrednią szczerą wodza Ósmej Armii wyrażali pewne obawy, czy takie spotkanie wyjdzie na „zdrowie” wzajemnym przyjaznym stosunkom anglo-amerykańskim. Amerykanie jednak nalegali i polecili do Tripolisu. Po spartańskim posiłku Montgomery miał wykład o wojnie na pustyni. Mówił bardzo zaczepnie, tonem pewnym siebie i dość krytycznie wyrażał się o taktyce amerykańskiej. Na pożegnanie ustawił ich w szeregu, uściśnął każdemu dłoń i powiedział: — „Mam nadzieję, że odrodziliście się Panowie wojskowo.” Amerykanie powrócili pełni entuzjazmu „for this amazing guy” i poczęli natychmiast stosować cały szereg sposobów, którym się poprzednio sprzeciwiali.

Żołnierze wierzą w Montgomery'ego, jak w Boga. Raz, pod El Alamein, odwiedził on wysunięty przyczółek artylerii. — „Na jak długo starczy wam amunicji?” — „Długo dowódco baterii. — „Na 50 strzałów!” — „No to zaczynajcie w południe i walcie bez przerwy aż do skutku.” — „Panie generale, a jeśli zabraknie naboju?” — „O czwartej będziecie mieli nowe.” I rzeczywiście, punktualnie o czwartej przybyły posiłki.

Montgomery jest bardzo pewny siebie. Gdy w marcu nad Marek Line wpał do jego namiotu goniec z wiadomością, że Niemcy atakują, generał go ofuknął: — „Daj mi spokój. Idę spać.” I poszedł spać. Ale wszystko było przygotowane i atak odparto podczas snu generała.

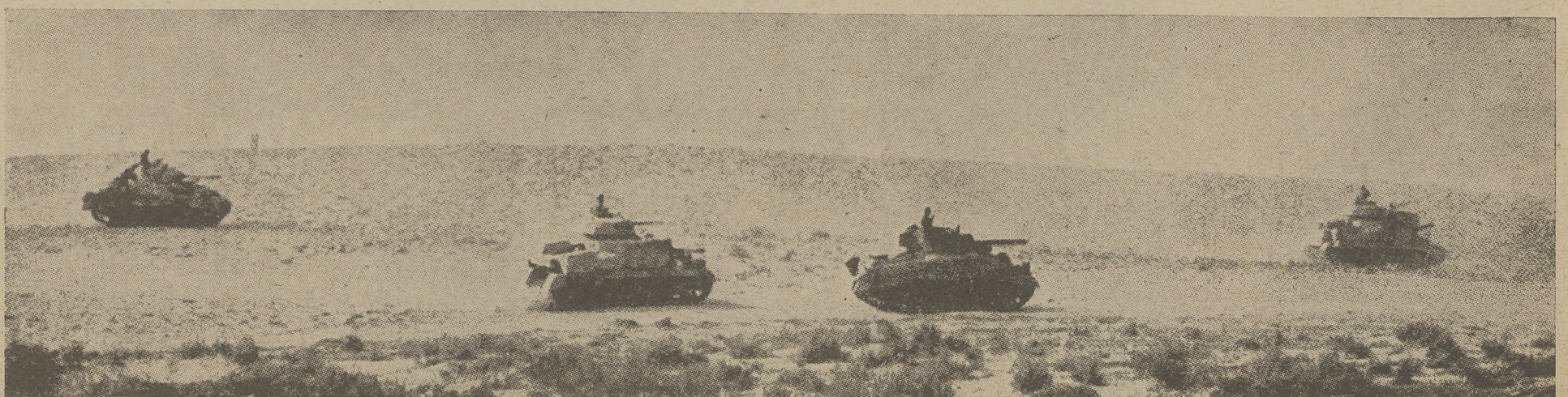
Anglicy są wielkim narodem wojennym a Montgomery jest wielkim generałem, jednak jak to już bywa na świecie nie tylko załuga jest potrzebna do uznania. Oprócz zwycięstwa, oprócz myśli wojskowej i hartu żołnierskiego, oprócz wybitnej indywidualności Montgomery'ego, potrzebna jeszcze była odpowiednia akcja propagandowa, aby te sprawy rzucić na ekran ludzkich zainteresowań i utrwalić w ludzkiej pamięci.

Ale propaganda jest bronią obosieczną. I dlatego opłaciłoby się zbadać i rozważyć akcję propagandową Anglików w związku z kampanią afrykańską. Owo chemicznie precyzyjne miarkowanie „news'ów”, efekty, które działają na wyobraźnię Anglo-sasów, sprawozdania korespondentów wojennych, działalność wydawnicza „Public Relations” i jej słynne już dzisiaj broszury propagandowe: „The Battle of Egypt”, „The Battle of Libya”, „East of Malta”, „West of Suez” i t.d. Poznanie tych spraw ma wartość nie tylko dla Anglików, ale także dla tych wszystkich, którzy pragną przemawiać do Brytyjczyków.

DOMINIK SZCZERBIC



Dowódca 8-ej Armii przemawia do swoich żołnierzy



Czołgi Montgomery'ego w czasie manewru okrążającego pod El Hamma

Najpiękniejszym wyrazem żałoby narodowej była w Polsce minuta milczenia. Wstrząsała nami do głębi ta chwila, gdy głosy urwały w pół zdania, chwila, której martwość była symbolem smutku i czci, symbolem wiecznej pamięci. Nad daleką masową mogiłą Polaków — zapadła minuta milczenia. Przedłużać się ona będzie teraz w godziny, w dni, w miesiące, ale tym głębiej, tym trwałiej wżerać się będzie w naszą pamięć.

Urwalimy rozmowę w pół zdania. Nie mogło się stać inaczej. Gdy nad tą najbardziej tragiczną w historii Rzeczypospolitej mogiłą zagrały nie żołnierskie werble honorowej kompanii, ale przeraźliwie zabrzmiły fałszywe trąby obcych propagand, gdy zleciały się pragnące latwego żeru sępy — coż nam pozostało, by ocalić świętą pamięć polskich bohaterów? Jedyne godna i dumna minuta milczenia.

To, co dziś przeżywamy to najtragiczniejsza z polskich minut i najtrudniejsza milczenie. Niemy podziw w takiej chwili wyrazić musimy dla Kraju naszego, który odparł raz jeszcze zwycięsko nową niemiecką ofensywę. Tym razem człogi jechały nadadowane "symptomaty" i "współczucie" oraz quilingowskimi propozycjami. Mówiąc o naszej trudnej sytuacji w Wielkiej Brytanii w związku z ostatnimi wydarzeniami, pomysły, co przeżywa w tym czasie każdy Polak w Kraju. Pomysły, jak musi być ostrożny i odporny, jak musi być rozumny i odważny, a napewno przestanie mówić o swoich mniemach lub wieciec zasądzonych kłopotach aktualnych, "incydentach" z Brytyjczykami i przemijających rozczarowaniach.

Oglądając nierozumną karykaturę rysownika angielskiego p. Low'a, na której Polak ubija w drzewo wspólny amerykańsko-angielsko-rosyjskiej klin, czy też czytając "Daily Workera", nie powinniśmy poddawać się uczuciom oburzenia czy żalu, jeżeli z jednej strony tkwi w nas głęboka wiara w zwycięstwo naszej prawdy, jeżeli z drugiej strony w ciągu trzech lat zdołaliśmy poznać Brytyjczyków i tę Wyspę wolności słowa.

Oczywiście przy spokojnym traktowaniu sprawy nasza propaganda powinna w tej czy w innej formie odpowiedzieć każdemu takiemu p. Low'a zadanie takie ułatwi napewno zakorzeniony na tym terenie "sense of humour". Przestrzec powinniśmy siebie na wzajem przed wybrykami takich epizodów rzekomo "anty-polskich", gdyż w większości wypadków bywają one indywidualnymi wyskokami osób mylnie lub wcale niepo-

informowanych o istocie sprawy, lub nawet poinformowanych, ale nie dających wiary.

Pewne rzeczy warto spokojnie rozważyć, zanim poddamy się w tak ważnym momencie uczuciom zniechęcenia czy desperacji lub pesymizmu. Sympatia dla sprawy polskiej i Polaków zrodzona na tej Wyspie z matki wojny i ojca przypadku na o gó! wyszła obecnie zwycięsko z niebezpiecznego kryzysu. To, że ktoś gdzieś w tych dniach okazał nam swoją niechęć, czy na odwrót indywidualnie podkreślił swoją sympatię — niczego nie dowodzi.

Powinniśmy sobie w takiej chwili zdać sprawę z wartości naszej, z naszego wkładu w tę wojnę. Wierząc w zwycięstwo prawdy i uczciwości, przejść powinniśmy do obserwacji szerszych i głębszych, do obserwacji, z których wyciągać można wnioski. One

bowiem dadzą nam odpowiedź na pytanie, co trzeba zrobić natychmiast dla zapobieżenia pewnym objawom, które nas słusznie denerwują.

Typowe było pytanie pewnej bardzo sympatycznej Angielki, która zaraz po wymianie znanych not przybiegła do swoich polskich przyjaciół i zaferowała zagadnieniem: "Powiedźcie mi szczerze. Ja nie wiem o co idzie. Ale oczywiście jestem po waszej stronie. Wiem, że na pewno macie rację, ale chciałabym wytłumaczyć innym, jednak nie znam argumentów!" Tych argumentów powinniśmy jak najprędzej dostarczyć naszym sympatykom i niesympatykom. Każdy z nas.

Próba przyjaźni polsko-brytyjskiej przyniosła nam prawdziwą i radosną niespodziankę. Myślę o nastrojach i postawie Szkocji.

Może to przykro, ale trzeba stwierdzić, że w Anglii, gdzie nasi lotnicy dali tyle dowodów odwagi i ofiarności, w Anglii, gdzie rozbudowano tak rozległą współpracę na tyłu rozmaitych polach i szczeblach hierarchii cywilnej i wojskowej, w tej właśnie Anglii zanotowano znacznie więcej głosów prasowych nieprzychylnych Polsce i znacznie więcej przykładów przelotnej niechęci okazanej Polakom.

Tymczasem stara, "zawsze wierna" Szkocja, zagarnięta przez "inwazję" polską — zadokumentowała oficjalnie w czołowych swoich pismach w "Scotsman" i "Glasgow Herald" zdecydowanie przyjaźielskie stanowisko w tych bardzo trudnych dla nas dniach; równocześnie starała się okazać na każdym kroku niezmienną swoją uczuciem dla przyjaciół polskich "jeszcze" z roku 1940! Jedyne epizody wyraźnie nieprzy-

chylny naszej sprawie — to zebrał Trade Union w Aberdeen, łatwy do zrozumienia i wybaczenia ze względu na charakter organizacji i nastroje niektórych sfer robotniczych.

Można więc śmiało stwierdzić, że "kryzys" polsko-brytyjski przyniósł wielkie zwycięstwo żołnierzo polskiemu w Szkocji. Ta "d o m o w a" propaganda, to wejście żołnierza polskiego do domu szkockiego — to jego pierwsze czasem miejsce przy "fire-place" rodzinny szkockiej, te jego bezradne, wspomagane gestykulacją i fotografiami opowiadania codziennie o Polsce, kraju człowieka pracy, a nie "landlordów" i "feudalów", jak się usiłuje mówić w opinii angielskiej — zrobiły znacznie więcej, aniżeli dziesiątki najmodniejszych biur. Po prostu okazało się, że przez tych parę lat żołnierz polski nie tracił czasu i zdobywał serca dla Polski.

Szkocja zaś tak głęboko ceniąc wolność i możliwość stanowienia o sobie jakby celowo zaznaczyła w tych dniach — jak najlepiej umiała tylko — że szkocka "friendship" nie ogranicza się do tradycyjnej "cup of tea" i rozmowy o pogodzie, że przyjaźń ta jest czuła, rozumna i wierna. W wielu miastach i miasteczkach Szkocji /co miałem sposobność stwierdzić/ podkreślano w ostatnich dniach w przeróżnych okazjach publicznie: lojalność Polaków, ich poczucie honoru i uczciwości. Tam gdzie uśmiechano się do nas dawniej, w tych dniach uśmiech zamienił się w poważny wyraz zrozumienia, ale nigdy w niechęć lub brak zaufania.

W Anglii lotnicy nasi stoją w większości wypadków w warunkach frontowych przeprowadzając codziennie odpowiedzialne zadania operacyjne. Inni pracują ciężko w warsztatach technicznych. Jasną jest rzeczą, że nasilenie bezpośredniego oddziaływania w przetrzymaniu domu angielskim, nie mogło przybrać takich rozmiarów jak w Szkocji. Tam gdzie w grę wchodzi walka, tam gdzie jest front, zadania, o których wspominały, schodzą na plan drugi i to jest całkiem naturalne.

Nie przeceniamy znaczenia bezpośrednich zetknięć żołnierza ze społeczeństwem brytyjskim, zdając sobie sprawę z pierwszych atutów, jakie w tej wielkiej grze stanowią polscy lotnicy i marynarze — stwierdzić musimy uczciwie, że żołnierz polski w Szkocji, może nawet nie zdając sobie sprawy z tego, zdobywa serca dla Polski. Serca Brytyjczyków to wielka zdobycz.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Bez black-outu

Skrzynka pocztowa

JESZCZE O KSIĄŻCE CARR'A

W nr. 1 "Polski Walczący" z b.r. w związku z doskonałym artykułem p. Zygmunta Nagórskiego, j.r. na temat książki prof. E. H. Carr'a "Conditions of Peace" uzasadniałem konieczność odpowiedzi na nią z naszej strony.

Pisząc ten list nie znalazłem jeszcze książeczki p. "Prawa Narodów" /The Rights of Nations by Czesław Poznański. London. George Routledge and Sons. 1942. Price 5s./ napisanej przez zdolnego publicystę polskiego, p. Czesława Poznańskiego. Dał on się poznać już przedtem swoim — świetnie, żywo napisanym: "Letter to my friends of the British Left." Nowa praca p. Poznańskiego jest próbą odpowiedzi zarówno prof. Carr'owi, G. D. H. Cole'owi, Wiktorowi Gollancz'owi i innym.

Posiada ona wszystkie zalety pióra p. Poznańskiego — ciętość, jasność, bezpośredniość. Może ona służyć, niewątpliwie, za korzyścią, do stopienia ostrza ataku i złego wpływu książki prof. Carr'a. Ale — mówiąc szczerze — wydaje mi się, że praca p. Cz. Poznańskiego /przynajmniej w tej postaci, jaką ma ona w dotychczasowym wydaniu/ nie wystarczy. Praca ta jest — żeby najtrafniej określić — zbyt "dziennikarska."

Ma to swoje dobre strony, ale ma też i swoje złe. Nie można z książką tego rodzaju jak "Conditions of Peace" prof. Carr'a, książką niewątpliwie świetną, operującą obfitym materiałem literatury, sympatycznymi i argumentami, podanymi bardzo poważnie i starannie, rozprawiać się w zbiorze artykułów dziennikar-

skich, a taki charakter posiada niestety praca p. Poznańskiego. Jest tam wiele ciekawego materiału, ale jest on podany zbyt gorąco, zbyt pośpiesznie, ze zbyt wielkim temperamentem dziennikarskim.

Nie chciałbym być źle zrozumianym. Przeczytałem "The Rights of Nations" p. Poznańskiego z wielkim zainteresowaniem, gorąco mogę tę pracę polecić wszystkim, uważam ją za nader wartościową, ale niemniej uważam, że to nie jest wystarczające dla pełnej odpowiedzi prof. Carr'owi. P. Poznański zrobiłby do prawdy bardzo pożyteczną robotę, gdyby siadł spokojnie na kilka tygodni gdzieś w jakiejś bibliotece i przetrzymał, rozszerzył, uzupełnił

WAŻNE DLA LOTNIKÓW

Szanowny Panie Redaktorze! Piszę ten list w imieniu Pań pracujących w "Ośrodku Rodzin Wojsk." w Falkirk. Po przeczytaniu "Bez black-outu" w nr. 10 "Polski Walczący" z 13 b.m. postanowiliśmy zaofiarować naszą pomoc lotnikom będącym w "poważnych kłopotach." Czy zechciałby Pan pośredniczyć w tej sprawie? W szwalni naszej naprawiamy bieliznę żołnierską i oficerów. Z wielką przyjemnością robiłbyśmy to także dla naszych lotników. Paczka z bielizną lub skarpetkami do naprawy mogła by być przesłana pod adresem: "Polish Soldiers' Canteen," Line Riggs, Falkirk. Po naprawieniu, w najkrótszym czasie, odesłalbymy paczkę pod wskazanym adresem.

Łączę uprzejme wyrazy

Maria Bogucka

Z życia obozów

Trzeci Maja na lotnisku

Ministry zniósł na przyszłość owe piękne, lecz kosztowne oznaki górnych stopni. Złotliwi twierdzą, że na żądanie Ministry of Food.

Generał Sikorski powitał krótko dywizjony i udał się z żołnierzami na nabożeństwo.

Szare ściany olbrzymiej hali hangarowej, otłaz na tle samolotów, dywizjony stojące w wielkiej podkowie, którą zamykają krzesła, postawione dla gości. W powietrzu zadrżał głos fisharmonii i zaraz dołączył się do niego głęboki śpiew chóru.

Patrzę po szeregach. Twarze żołnierzy skupione i wzruszone. Bowiem podobnie, jak w dzień Łotwego Narodzenia liczy się lata ubiegłe i tych, którzy wykuszili się z rodzinnego, wigilijnego stołu, tak znowu w ten dzień młode wiatry przywiewają z powrotem każdemu na małą chwilę wszystkie wiosny jego młodości. Jakies wiosny z Polski, wiosny wielkiego czy małego miasta, wiosny wsi, wiosny boru. Uroczyste wiosny bżowe, wiosny bocianów kojących nad głowami, wiosny kilku-jących runi, kwitnących kasztanów, zielonej leśniczyny i chrabąszczy otrząsanych z młodych drzew sadu. Owiewa wszystkich zapach kadzidła z kościołów, katedr i kapliczek, przychodzą chwile słodkie, beztroskie, spokojne, szkolne, domu, gminy...

Wiatr Atlantyku jest zimny i mrozący kości. Zabija młodość, rozprasza wspomnienia młodzieńcze. Z nim odzywa się twarde dzisiaj, czas wieku męskiego. Mówi o nim piękne słowa poety: wiek męski — wiek kłeski, Wiek zawodów, które do-

piero przetrwać trzeba, by kłeska zamieniła się w pełne zwycięstwo. Będzie to maj, ów Trzeci a uroczysty, na którym spojrzenie obejmie ludzi i kraj własny już z uczuciem człowieka, patrzącego na plon żniwa. Wtedy wspomni się, że nie na próżno los gnał po świecie, a inne mają zastawały bezdomnych na wszystkich opuszczonych i przeklętych miejscach świata, czy to u stóp Atlasu, czy na ruinie wyrosniętej z krwi pomordowanych kłanów, na brzegu rzeki Tay, u podnóża Highlandu. Nie na próżno wędrowało się po morzach i gnio w tajgach Syberii, czy konoło w upale Pustyni Syryjskiej. I znowu zapachnie bez z parków i sadów.

Generał Sikorski kłęczy na drewnianym kłęczniku z czerwoną poduszką, który skądś tam wytrzasnęli wszystko mogący, wszystko umiejący mechanicy eskadrowi. Modli się pilnie z trochę nad-dartę książeczki-mszaliku, takiej za 6 d. do nabycia w każdym sklepie żołnierskim. Może w tej chwili

li natrafił na tę piękną modlitwę do Królowej Korony Polskiej: "Zstap Pani święta z tronu chwały twojej i wspomnij na smutki tego świata. Otocz miłosierną opieką tych wszystkich, którzy walczą z trudnościami, tych wszystkich, których usta stale są przyciśnięte do gorzkiego kielicha żywota."

Gdy ksiądz wygłasza okolicznościowe kazanie, wzrok mój pada mimo woli na drzwi po prawej stronie hangaru, na których angielski i polski napis głosi, że tam, za nimi znajduje się zabójcze królestwo zbrojmiat. Ksiądz mówi o pokoju. Mimo woli myślę ze smutkiem: jak długo jeszcze otłaz pokoju ustawiać się będzie w cieniu machin stalowej śmierci? Jak długo te prawie dzieci, co tu wokół mnie stoją, ci przedwcześnie dojrzałe młodzieńcy, będą zmuszeni uprawiać swój jastrzębi zawód? Jak długo śmierć będzie mieć święto pamiątkowe dnia, w którym 150 lat temu z naszych polskich ust, padły pierwsze w Europie kontynentalnej słowa wolności, braterstwa i pokoju? Padły nie wśród wystrzałów i krwi wylewanej, lecz wśród radości i ciszy nabożeństwa majowego.

Jestem przekonany, że człowiek, kłęczący na kłęczniku myśli tak samo, widząc dziś nad Polską te same chmury, które zaciągały widnokrąg w 1772...

Po Mszy Generał na prośbę dywódcy całosci przemawia do żołnierzy. Mówi krótko, dobitnie i bardzo twardo. Każde słowo ma swój bezpośredni oddźwięk w każdym z nas, gdyż jest po prostu głośno wypowiedzianymi myślami każdego z nas. To też zwykły obo-

—Bardzo przyjemnie służyć z Polakami — mówi siwawy oficer RAF'u, siedząc obok mnie w kolejce podziemnej, sterującej w kierunku przedmieść londyńskich — Very nice chaps, indeed. Dziś u was National Day? Isn't it?

—Tak, dziś Trzeciego Maja — powiadam.

—Szkoda, że zimno jak diabli — konstatuje mój rozmówca.

Rzeczywiście, było djabło zimno, a na lotnisku wiatr zrodzony gdzieś przy górach lodowych północnego Atlantyku, urwał głowy. Dywizjony ustawione do przelotu zdecydowanie marzły, lecz nikt się tym specjalnie nie przejmował. Słońce mimo nieprzyjemnej pogody świeciło jasno "na zdrowie, szczęście, na dobrą wróżbę roku," jak mawiano w Polsce. Wszyscy wiedzą przecież, że jeżeli słońce świeci na Wielkanoc i na trzeci dzień maja, lato będzie dobre i żniwa udane.

Nastroj dywizjonów był dobry i grzał podwiewanych. Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali generała Sikorskiego, który rezygnując z wielkiej uroczystości w stolicy, przybywał tutaj, by ten dzień spędzić w lotniczym gronie. Było to dla gospodarzy tym bardziej zaszczytne, że działało się to w okresie wielkich i ciężkich prób narodowych.

Generał Sikorski wbrew oczekiwaniom nie przyjeżdża, lecz po prostu przychodzi piechotą. Towarzystwo mu tylko jeden adiutant. Niemniej za Generałem postępuje parę scrambled eggs, czapek ze złotymi galonami, które noszą tylko dostojnicy lotniczy od pełnego pułkownika /Group Captain/ w górę. Dla ciekawych wyjaśnienie, że istnieje pojedyncza i podwójna porcja owych scrambled eggs. Pojedyncza i podwójne złote galony na czapce. Istnieje, lecz niebawem istnieć nie będzie, gdyż Air

wiązkowy okrzyk na cześć Naczelnego Wodza brzmi mocniej i przeciąga się silniej.

Nastąpiła deflacja, Generał stwierdza, zwracając się do pułkownika P... iz: "lotnicy pokazują, że nie tylko w powietrzu są pięknym wojskiem." Rzeczywiście deflacja wypadła doskonale, a było to przecież największą sławą okryte dywizjony myśliwskie, więc może małe niedociągnięcia były by wybaczone. Lecz niedociągnięć żadnych nie było.

"Dobre wojsko" — powiada ktoś koło mnie. Nie myli się moim zdaniem. Lecz dobroć jego nie polega tylko na tym, że się dobrze bije i dobrze maszeruje, lecz także na tym, że jest to wojsko z wielkim sercem.

W kasynie, po deflacji Generała otoczyli ciasnym kołem młodzi i pytają i pytają bez końca, chcą wiedzieć wszystko. Generał odpowiada, wyjaśnia a nawet dyskutuje. Wizyta przeciąga się daleko poza miarę przewidzianą. Jeszcze, panie Generale, to, a jeszcze tamto.

Gdy wreszcie przychodzi chwila wyjazdu niecierpliwie wyczekiwana przez adiutanta, pada ciche hasło: Do samochodu odprowadzamy go wszyscy! Wszyscy.

Kasyno wyłudnia się, przed kasynem gromada żegna gości. W ten sposób chcą mu lotnicy okazać dziś, właśnie dziś w sposób dobitny, co czują i myślą...

Widąc z twarzy Generała, że rozumie intencję i jest szczerze wdzięczny. Przyjaźń jaka łączy go z lotnikami jest głęboka i szczerza. Nie ma w niej niedomówień. Polega na łączącej mocno, głębokiej wspólnej trosce i wspólnym pragnieniu: przejścia przez to wszystko, co twarde i trudne, przez to najgorsze, co by i najcierpliwszego wyprowadziło z równowagi, w powadze i z czystym czołem.

M. J. GORDON

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE?

ST. JAMES' BALM

ANTIVIRUS OINTMENT

DESTROYS GERMS

AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT

Send for FREE SAMPLE

MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES LTD.

CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

Na zebraniu koleżeńskim odbytym dn. 7. maja b.r. pracownicy Biura Prac Kulturalno — Oświatowych Ministerstwa Obrony Narodowej uchwaliли podtrzymać opodatkowanie miesięczne w dotychczasowej progresji od poborów i z dotychczasowym przeznaczeniem na pomoc dla Polaków w Rosji. Stosownie do tej uchwały przesyłają za miesiąc maj £18.06 /słownie: funtów osiemnaście i sześć pensów/.

Przy niniejszym załączam przekaz na sumę £14.00 zebranych przez Oficerów S/S... z przeznaczeniem na pomoc dla Polaków w Rosji, o ile ta jest w dalszym ciągu możliwa i aktualna.

Kapitan S/S... /Takoradi/

Osobnym Postal Order przesyłam funtów jeden £1.00 na dzieci polskie w Rosji, jako ofiarę za doznane łaski od Marii Wspomożenia Wiernych. Zobowiązałem się do stałej miesięcznej ofiary na ten cel w kwocie 5. sz., które w pierwszym tygodniu maja przekaże.

Z poważaniem Kpr. C.W.

Potwierdzając uprzejmie odbiór pisma Pana Redaktora z dn. 29 ub.m. stwierdzamy niniejszym, iż wpłynęła do P.C.K. kwota

£260.8.0

zebrana przez Czołówkę Teatralną "Lwowska Fala" w czasie objazdów lotnisk angielskich i angielsko-polskich na terenie Anglii i Szkocji. Wyżej wymieniona suma składa się z kwot wyszczególnionych w numerach 3, 4, 5, 6, 8, 9 i 10 "Polski Walczącej".

Zarząd Główny P.C.K. składa raz jeszcze za pośrednictwem W. Pana Redaktora gorące podziękowania Zespołowi Czołówki Teatralnej "Lwowska Fala".

Prezes W. Koskowski
Skarbnik T. Surzycki

Pomoc dla Polaków w Rosji: £8,716

W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £9 sh.4 d.1 /dziewięć £, cztery sh., jeden d./ zebrane od podoficerów i szeregowych Pułku Przeciwpancernego przy wypłacie zółdu z przeznaczeniem na pomoc dzieciom — sierotom polskim, przewiezionym z Rosji do Iranu.

Łączę wyrazy szacunku
J.L. rtm.
II Z-ca D-cy pułku

Proszę o przyjęcie złożonych na moje ręce przez p. Robing Turner, Dundee, 4, Gowie Place, sh.16 — na dzieci polskie wywakuowane z Rosji.

Z szacunkiem
Staszewski

W załączeniu przesyłam Money Order na kwotę £17.10½ zebraną z dobrowolnych składek na rzecz dzieci polskich w Rosji zamiast wienca dla śp. st. szereg. Pawelec Zygmunt.

Dowódca... Kompanii Sanitarnej
/—/ Dr. J., kpt. lek.

Sh.5 za miesiąc kwiecień na pomoc Polakom w Rosji.

ppor. Jan H. z S.

Przesyłam sh.30 na dzieci polskie w Rosji.

M.P.
W załączeniu przesyłam P.O. na

kwotę £7.12.9½ złożoną przez żołnierzy tuł. dyonu w miesiącu kwietniu br. z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.

Dowódca Dyonu
M.K. kapitan

Henryk Kompf 2 funty, z podziękowaniem "Polsce Walczącej" za pomoc w odszukaniu brata.

Szanowny Panie Redaktorze,
Załączam £5.00 na pomoc dla biednych polskich dzieci znajdujących się w Rosji lub gdzie indziej na szlakach polskiej tułaczki.

Z poważaniem
M.L. ppłk.

Przy niniejszym załączam M.O. na sumę £5.00 /pięć funtów/ ofiarowane anonimowo przez zaprzyjaźnionego angielskiego księdza katolickiego dla dzieci polskich na obczyźnie.

Z poważaniem
por. A.F.N.

W załączeniu przesyłam Postal Order na sumę £2.00 z przeznaczeniem na dzieci polskie w Rosji.

Jeden z tych którym udało się wy-dostać z Rosji.

Józef Nowicki

Łączną sumę zbiórek w dzisiejszym numerze £67.16.3 /słownie: sześćdziesiąt siedem funtów, szesnaście szylingów i trzy pence/ przekazał mi Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £8,716.24½ /słownie: osiem tysięcy siedemset szesnaście funtów, dwa szylingi, cztery i pół pence/, 108 pesetów hiszpańskich, 28 dolarów kanadyjskich, 4 dolary amerykańskie i 15 czerwienców.

NA JUNAKÓW

U.K. sh.5.

NA JENCÓW POLSKICH

W NIEMCZECH

Przesyłam kwotę 6.1.10 /słownie: funtów sześć, jeden sh., d.10/ na pomoc jeńcom polskim w obozach niemieckich.

Kwotę powyższą złożyli dobrowolnie mieszkańcy małego osiedla w czasie zwiedzania Wystawy Propagandowej "Poland Before September 1939" zorganizowanej przez... Kompanię Saperów.

w.z. Oficer Oświatowy
J.B.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

P. Zboński przesłał:
Allan: Metrology. Maurois: Dzieje Anglii. C. Seignobos: Essai d'une histoire comparee des peuples de l'Europe. General elementary science. F. Raczek: Walka oddziałów piechoty. Basic English for Polish students. N. Brian-Chaninov: Histoire de Russie. Polska w liczbach. The Abyssinian Campaigns. Kalendarz Polskiego Czerwonego Krzyża.

Panie Redaktorze,
W załączeniu przesyłam te skromne broszurki — jedyne takie w tej chwili posiadam, z prośbą o przekazanie dla żołnierzy Polskich na Wschodzie.

Z poważaniem

por. J.S.

Załączone:
William A. Robson: Ustrój Wielkiej Brytanii. Marsz Odwetowy.

Anonimowo: H. Sienkiewicz: Ta trzecia. M. Kuncewiczowa: Klucze.

W związku z likwidacją pociągu pancernego "F" i zgodnie z uchwałą zebrania oficerskiego likwidującego majątek pociągu przesyłam równocześnie w dniu dzisiejszym dwie paczki zawierające książki z biblioteki pociągu w ilości 133 różnych książek i broszur.

Zebranie oficerskie pociągu panc. "F" uchwaliło podarować powyższą bibliotekę na rzecz Polaków na Środkim Wschodzie a to za pośrednictwem "Polski Walczącej".

Przesyłając równocześnie powyższe książki proszę o postąpienie z nimi zgodnie z życzeniem zebrania oficerskiego.

Z poważaniem

Dowódca pociągu "pancernego "F"

Przesyłam w załączeniu zebrane wśród żołnierzy rzutu dowodzenia 1. P.A.C. następujące książki dla żołnierzy na Środkowym Wschodzie: 1/ Ryby śpiącej w Ukajali. 2/ Przylądek dobrej nadziei. 3/ Polska w zwyczajach i obyczajach. 4/ Alarm. 4/ Złota chorągiew. 6/ 3 egz. Basic English. 7/ 2 egz. 1000 słów po angielsku. 8/ broszura: Niemcy w Polsce i inne.

Z poważaniem
Edward Majlich

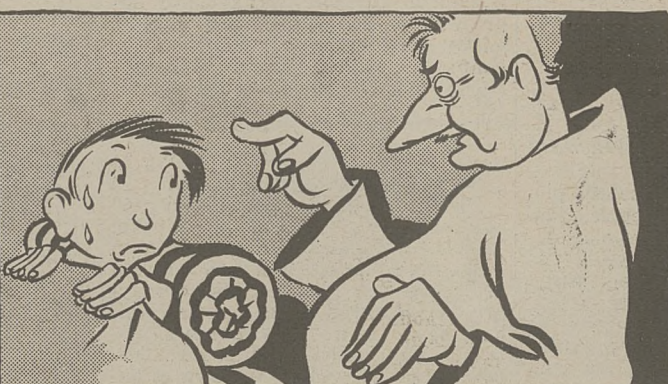
Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

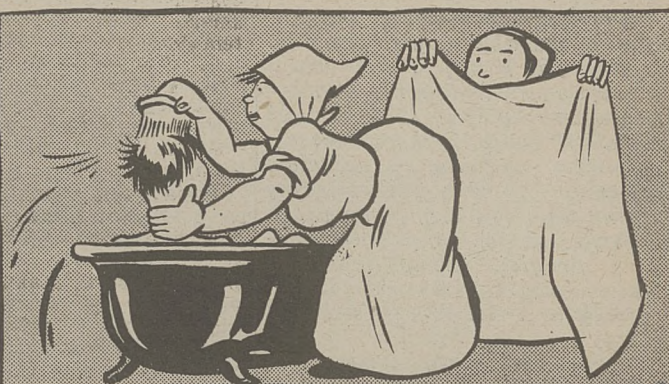
Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



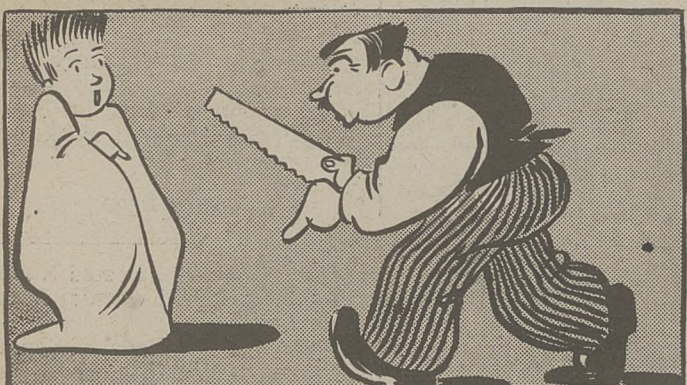
Do karetki wrzucono Otrutego Walusia. Sanitariusz z gromnicą Przy Walusiu w niej usiadł.



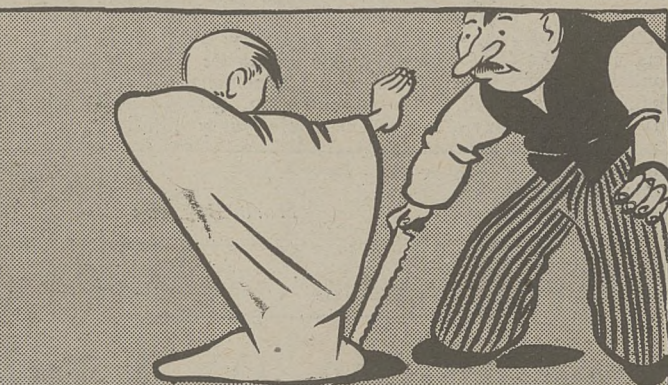
A w szpitalu wojskowym Lekarz zły, jak zaskroniec. Wnet postawił diagnozę: Operacja i koniec.



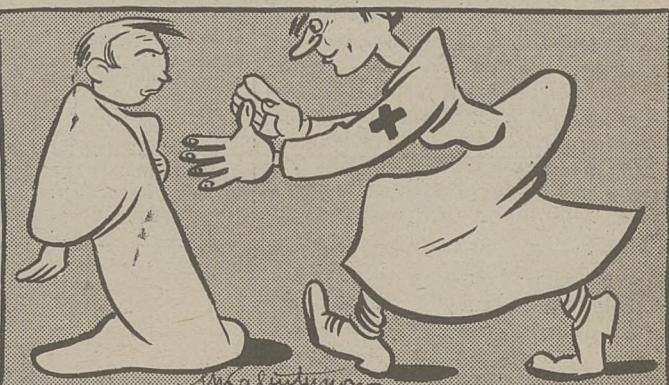
Przez godzinę Walusia Poczem Pompka się znalazł. Dwie kapały niewiasty. W sali numer trzynasty.



A w tej sali gość jakiś. Chwycił piłę, zdjął krawat. I zapytał uprzejmie: Nóżka lewa, czy prawa?



Zebym pana nie kopnął, Chociaż zdjęte mam buty. —Krzyknął Walus—ja jestem Beznadziejnie otruty!



Znamy takich—rzekł lekarz— To maligna, nic więcej. Siostrzo—krzyknął—pacjenta Proszę trzymać za ręce...

POLSKI ZJAZD KATOLICKI

Komunikat nr. 1.

W związku z organizacją Polskiego Zjazdu Katolickiego w W. Brytanii Komitet Organizacyjny zwraca się z apelem do wszystkich działaczy i członków Organizacji Katolickich o przesłanie następujących danych celem rejestracji: a/ imię i nazwisko, b/ wiek, c/ organizacja, w której był członkiem lub rozwijał działalność /na jakim stanowisku/, d/ obecny adres.

Korespondencję prosimy kierować pod następującym adresem: Komitet Organizacyjny Polskiego Zjazdu Katolickiego, 27, Grosvenor Street, London, W.1.

SPIS RZECZY:

Jacek Lis: Nie rozumiem. — Otto Maciąg: Szarża pancerna /drzeworyt/. — Zbigniew Grabowski: Szkice sytuacyjne. — Z tygodnia na tydzień. — Julian Ginsbert: Wojna na morzu. — Józef Winiewicz: Czwarła wiosna Niemiec i Europy. — Eugeniusz Romiszewski: W składalni spadochronów. — Bogumił Andrzejewski: Wspomnienia z oblężonego Tobruku /III/. — Jim Poker: Od wrót Tamerlana do Piccadilly /VI. Pod Krzyżem Południa/. — Dominik Szczerbiec: Montgomey. — Wiktor Budziński: Bez black-outu. — M. J. Gordon: Trzeci Maja na lotnisku. — Pomoc dla Polaków w Rosji. — Zbiórka książek. — Ryszard Pobóg: Przygody Walentego Pompki /rysunki Mariana Walentynowicza/. — Fotografie.

NAJLEPSZY SZKOCKI SAMODZIAŁ

oraz wszelkie wyroby z wełny:
GREENSMITH DOWNES
Edinburgh
Damska konfekcja: 57, George Str.
/naprzeciw Music Hall/
Męska konfekcja: 124, George Str.
/West End/
Filia: 1, Bell Str., St. Andrews

Nowość W SKALSKI Nowość

Prof. Akad. Handl. w Poznaniu
"ZASADY INWENTARYZACJI I BILANSOWANIA"
Wydanie piąte
cena 7/6
Zamówienia przyjmuje: Składnica Księgarska 1, Atholl Pl. Edinburgh

ZAPRASZAMY ŻOŁNIERZY POLSKICH

do odwiedzania naszego sklepu.
ofiarujemy:
Wyroby skórzane i paroiane.
Olestry — Pasy wojskowe i t.p.
Nóż — Trzciniki — Lornetki i t.p.
COGSWELL & HARRISON,
Rusznikarze, 169, Piccadilly, London, W.1.

AUTORSKI WIECZÓR POETÓW

W Ognisku Polskim, 45, Belgrave Sq.
S.W.1. 19.V.8-a wieczór
Staraniem P.E.N. Klubu Polskiego
Wystąpią: Stanisław Baliński,
Antoni Bogusławski, Marian Hemar,
Al. Janta-Polczyński, Antoni Słonimski, Irena Tuwim.
Cena wstępu 2/6 na cele społeczne.

KONCERT

Na Fundusz Dobrobytu Żołnierza
odbędzie się w Wigmore Hall dnia
14 maja 1943 o 7-mej wieczór
koncert z udziałem artystów: Ida
Haendel, Mark Hambourg, Nowakowski.

MUNDURY DLA OFICERÓW

Armii, Lotnictwa, Marynarki i Służb Kobiecych.

Gotowe na składzie lub na miarę.

Wszelkie dodatki ekwipunku wojskowego

J. C. SMITH, LTD.

Przedstawiciel Burberry i Aquascutum,

91, LOTHIAN ROAD, EDINBURGH 3

137, High Street, Dunbar.

19, Bell Street, St. Andrews.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.

Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

Ktokolwiek mógłby udzielić mi informacji o ojcu moim Kapitanie Korpusu Sadowego ANTONIM BROSKIEWICZU oraz ZYGMUNCIE SOCHACKIM, proszony jest o skomunikowanie się z Haliną Stegeman, Kersewell House, Carnwath, Lanarkshire Scotland.

JAN MUSIAŁ poszukuje brata HIERONIMA, przybyłego z Francji. Wiadomości do redakcji "P.W."

Poles in Uniform

Rysunki Wojska, Marynarki Wojennej i Lotnictwa Polskiego.

ALEKSANDRA ŻYWA

z przedmową gen. dyw.

Dr. M. KUKIELA

Album rysunków A. Żywa odzwierciedla historię Wojska Polskiego w Wielkiej Brytanii począwszy od roku 1940, aż do dnia dzisiejszego.

12s. 6d. netto

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

THOMAS NELSON & SON LTD.
PARKSIDE, EDINBURGH